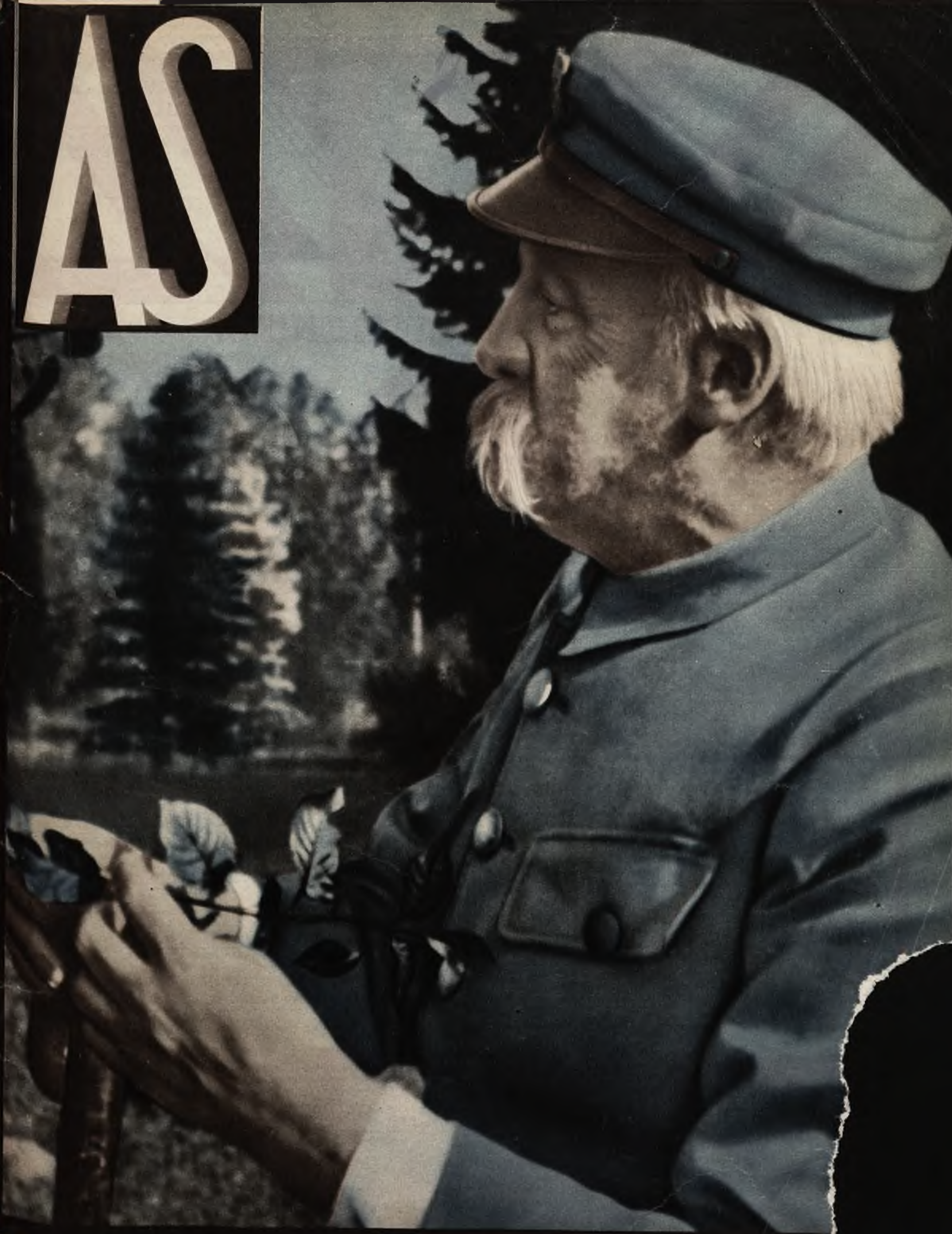
AS



NR. 12.
19 MAJA 1935 ROKU.
CENA 40 GROSZY.

JÓZEF PIŁSUDSKI

PIERWSZY MARSZAŁEK POLSKI I WÓDZ N



LEGENDA O NACZELNIKU.

Jest taka wydma piaszczysta w Zułowie, taki garb poza dworem, niewielki pagórek, na którym kilka drzew wybiega ku niebu. Piachem i żółtą gliną patrzy brzeg w stronę dworu, a trawą nikłą i badylami bylin ku niebu. Słońce gładzi ciepłem promieni złoty piach i glinę, a wiatr liczy na drzewach szpilki i z badylami bylin rozmawia.

To taki malutki rezerwat, niewiele metrów kwadratowych mający. To kraj osobliwości, teren dla dziecięcej fantazji i tęsknoty.

Tu drobnemi dłońmi — nad wiek poważny Ziuk — pierwsze sypał okopy, pierwsze dźwigał warownie. Tu, ukryty za garbem, żółtem licem, patrzącym w stronę dworu, z drewnianego karabinu strzelał do niewidocznego wroga, lub krył się za pniami drzew, jak „kryjaki", którzy na cztery lata przed jego przyjściem na świat, w puszczach litewskich ginęli.

Gdzieś tam w Zułowie żyją jeszcze echa rozmów dziecka z matką, co to z Billewiczów, od Mendoga się wywodzących, była... Jeszcze wyłowi dusza echa wielkich słów, z których posiewu wyrósł potem, jakże wielki — Czyn. Jeszcze wysłuchać można duszą szepty konspiracyjnych rozmów rodzinnych, jeszcze tułają się po zułowskich polach i ogrodach strofy wieszczów, powtarzanych za matką przez Ziuka, jak pacierz...

W Zułowie 4 lipca 1867 roku, wśród pól malowanych zbożem rozmaitem, w dworku o białych ścianach, pierwszy raz odetchnął powietrzem Ojczyzny Ziuk.

W Wilnie zaczyna męczeńską życia drogę. W Wilnie umęczonem, królewskiem mieście dojrzewa w Nim wola. W Wilnie pierwsze potyczki z wrogiem wygrywa i uczy się mądrości milczenia.

Potem Charków. Potem gorący wir młodych poczynań, rewolucyjnych dyskusyj, wystąpień i starć. Pierwsze załamanie na szlaku. Relegacja z uniwersytetu.

I znowu Wilno. Miłość Polski łączy się wiarą żywą, mocniejszą niż życie. Miłość wiarą stają się proroczym nakazem, stają mocą światoburczą.

potem daleki szlak z kajdanami na rękach i nogach. Jak szli ojcowie... Długa droga za Ural, do Azji.



Marszałek Piłsudski (na lewo) w wieku dziecięcym, ze swym bratem Janem.

Rozkrwawili Mu twarz ciosem kolby i nahajem siekli młode ciało. Potem brudne baraki i cuchnąca strawa, potem trud i męka. Rok 1887.

Dwa i pół roku w zimnej celi w Irkucku za kratami. Potem burjacka Tunka i tęsknota — największa z mąk tego świata...

Pięć długich jak wieczność lat. Pięć lat niesamowitej męki. Pięć lat w syberyjskich stepach na łasce i niełasce dzikiego bezprawia.

Jeszcze tam na Polski męczeńskim szlaku i w dalekim burjackim kraju tułają się wielkie tęsknoty i kryształowe sny o potędze.

...Nie dla międzynarodowych rewolucyj, nie dla cudzej sprawy ma się lać polska krew! Zadużo jej wsiąkło w ziemię od Napoleona. Tak hojnie przelewaliśmy ją na bitewnych polach świata. Walka z przemocą, to nie bój proletarjatu z kapitałem, to nie wojna wrogich klas o władzę... To większy bój! Bój Polaków o Polskę! Bój Polski o swą moc, o swój honor, o potęgę!

Wraca do Wilna. O szarej polskiej masie myśli. Myśli o wydarciu jej z rąk obcych agitatorów, o danie tej masie wiary jedynej, wiary w Polskę.

W roku 1892 zaczyna się walka z „szatanem przemocy". Już jej nie wiedzie mały Ziuk, ale towarzysz „Wiktor". — Jakże symbolicznem miało stać się to imię. — Coraz częściej w gęstwie bluz robotniczych, w warsztatach i fabrykach mówią o Polsce, coraz częściej na czerwień sztandarów wypływa srebrny, królewski ptak. Powstają bojowe drużyny „Wiktora".

Jeszcze raz zawisła nad Nim dłoń ciemięzcy. Znowu męka samotnych i czujnych godzin w petersburskiej celi u progu nowego wieku, który miał dać Polskę żywą. Rok 1900.

Potem trud ponad ludzkie siły. Żołnierz i polityk. Wśród huku bomb i trzasku browningów, krzyk: — Niech żyje Niepodległa Polska! — Interwencja w Japonji. Jazdy po Europie. Organizowanie Związku Walki Czynnej, a równocześnie redagowanie, składanie, drukowanie i kolportowanie „Robotnika".

Na ziemiach polskich powstaje polskie wojsko. Związki i Drużyny Strzeleckie. Organizować trzeba skarb, żołnierskie i oficerskie szkoły, trzeba kłaść fundament pod armję.

Potem już krótkie etapy: — 6 sierpnia 1914 i żołnierski trud. Rok 1917 — Magdeburg. 11 listopada 1918 — Warszawa! — I wreszcie największy czas próby — rok 1920.

Naczelnik Państwa i Zwycięski Wódz Narodu!

Potem belwederska samotnia i praca szarego dnia. Potem bitwa nieustanna o Polski moc, o Jej honor i potęgę!

12 maja 1935 roku przestało bić wielkie serce. Przestał żyć Wódz Narodu.

Spoczął między królami...

Ale serce, to wielkie serce położy się u stóp matczynych w Wilnie i będzie się spowiadało Matce z przeżytych trosk i cierpień, będzie Jej zdawało rachunek z pracy wielkiego żywota...

Serce Marszałka Piłsudskiego.



…bionym pasjansie podczas pobytu na Maderze.



Marszałek i wierna kasztanka.



W gronie swych generałów na święcie kawalerji w Krakowie...

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „KURYER" S. A.
REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: JAN STANKIEWICZ.
KIEROWNIK LITERACKI: JULJUSZ LEO.
KIEROWNIK GRAFICZNY: JANUSZ MARJA BRZESKI.
ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: KRAKÓW, WIELOPOLE 1 (PAŁAC PRASY). — TEL. 150-60, 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65, 150-66.
KONTO P. K. O. KRAKÓW NR. 400.200.

AS

ILUSTROWANY MAGAZYN TYGODNIOWY

CENA NUMERU GROSZY 40
PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR.

Numer 12 **Niedziela 19 maja 1935** **Rok I**



Kondukt żałobny z szczątkami doczesnymi Marszałka Piłsudskiego w drodze z Belwederu do Katedry św. Jana w Warszawie. Trumnę, okrytą sztandarem państwowym i złożoną na lawecie otaczają oficerowie. Po obydwóch stronach ulicy szpalery wojska i pochodni. *Fot. „As".*

TREŚĆ NUMERU 12-GO:

J. PIŁSUDSKI

w sztuce polskiej.

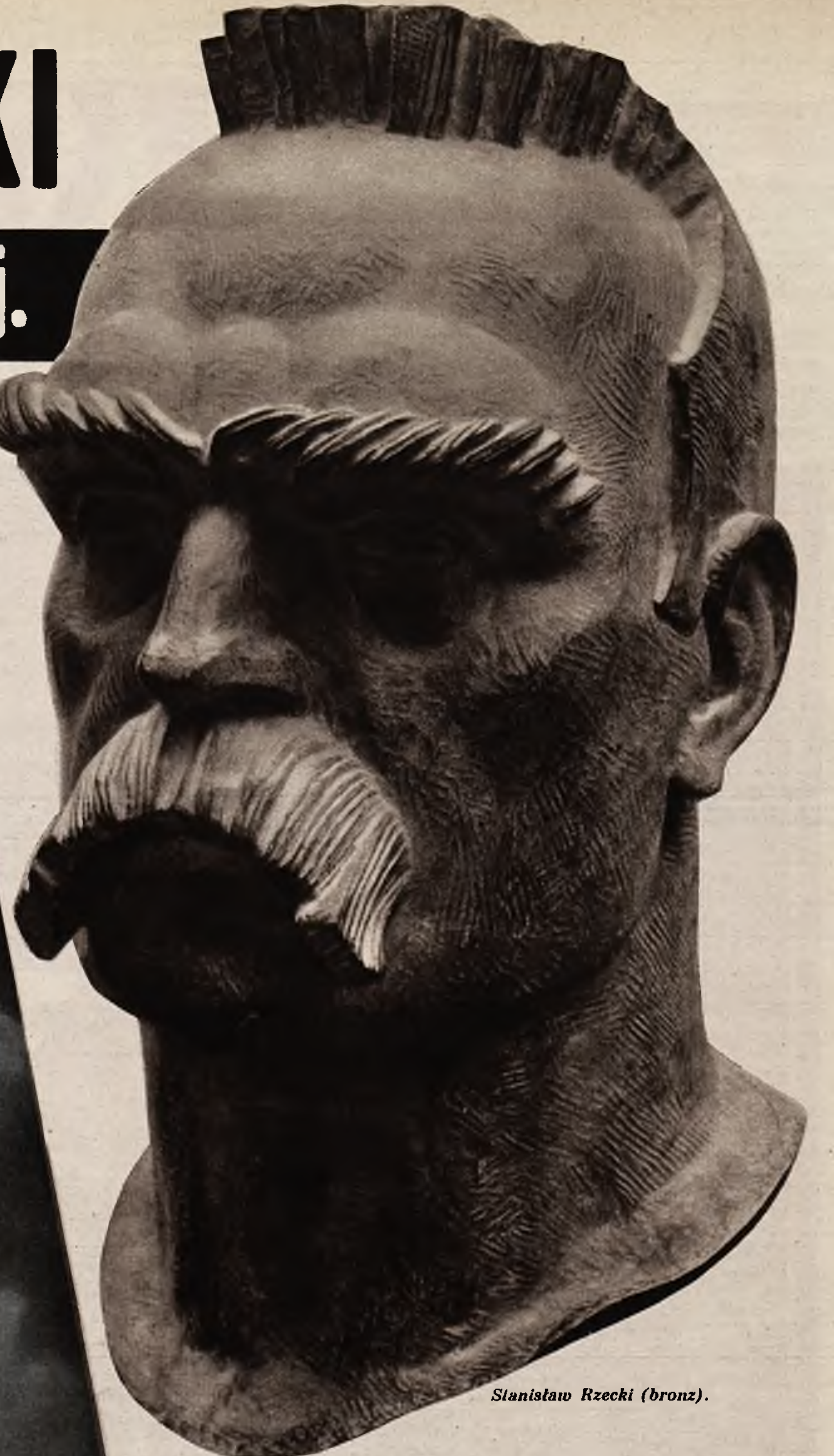
W programie zajęć współczesnych władców przewidzianą jest codziennie godzina przeznaczona dla propagandowych celów a więc dla zdjęć fotograficznych, kinowych, radja i pozowania malarzom i artystom.

Jedynie Marszałek wyłamywał się stale z krępujących więzów i nieznosił trzasku aparatów fotograficznych, a zwłaszcza wszelkiego pozowania.

Jak mi wiadomo zaledwie dla kilku artystów polskich zdołało otoczenie Marszałka wyjednać „godzinkę" pozowania.

Godzinka ta nigdy godzinką nie była a dostojny model żadną miarą nie dał narzucić sobie wymaganej pozy, lub stroju.

Takie seansy kończyły się w szybszym tempie, niż było przewidziane, a rozgorączkowany artysta pozostawał z płótnem i wrażeniem arcykrótko doznanej ekspresji.



Stanisław Rzecki (bronz).



Zygmunt Grabowski (olejny).

Marszałek nie przywiązywał wielkiej wagi do zadań i celów sztuki, skutkiem czego potomności przekazano nader szczupłą liczbę portretów-dokumentów, które często przemawiają głębiej i jaśniej, niż tomy biografji. Mimo tych faktów, artyści kochali bez wzajemności fascynującą postać Marszałka, która stała się dla ich twórczości magicznym wątkiem różnorodnych plastycznych kompozycyj.

Postać Marszałka Polski skupiała w swych charakterystycznych cechach, prototypy rasowego: kresowego szlachcica i rycerza, z rodu tych, których oglądaliśmy oczyma duszy zarówno w trylogji Sienkiewicza, jak i w soplicowym dworku.

Matejko, który potężną wizualną mocą wskrzesił wizerunki królów, stworzył na obrazie, przedstawiającym „Króla Batorego pod Pskowem" w królewskim orszaku, postać rycerza sobowtóra Marszałka.

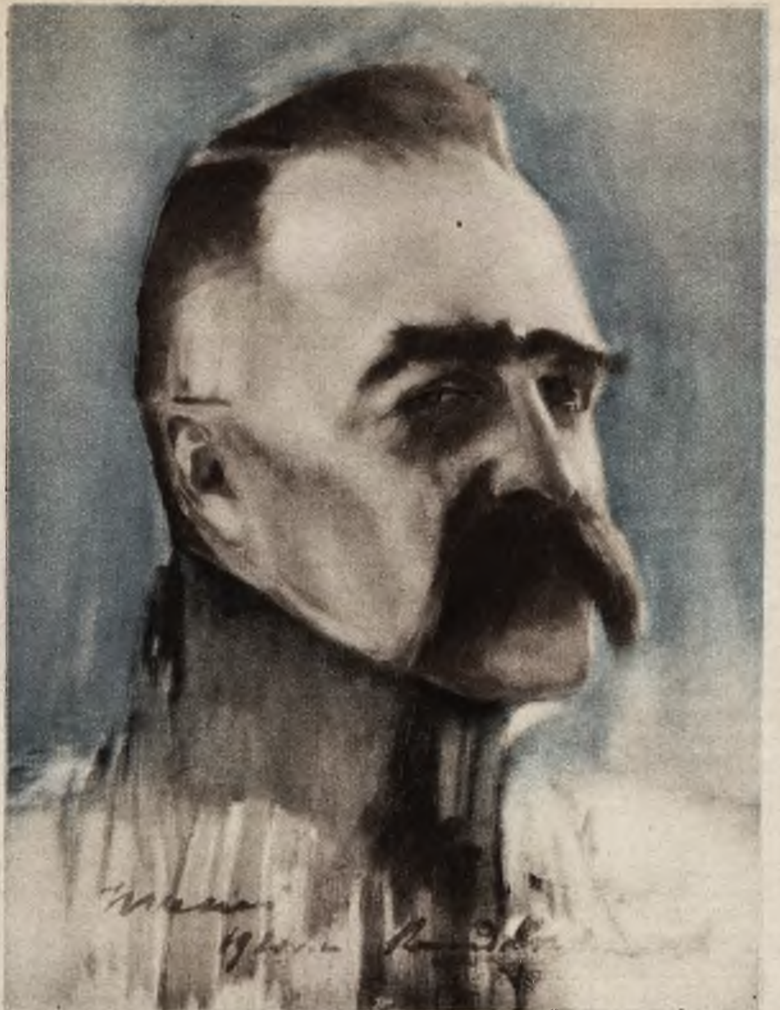
Drugim z krwi i kości powstałym sobowtórem, była postać filozofa Fryderyka Nietzschego, określonego przez niemieckich rasistów, jako idealny sarmacki typ.

Niestety Marszałek nie miał swego Velasquesa, lub Matejki! — Nikt z żyjących artystów, ani żadną soczewką aparatu nie zdołała utrwalić plastycznie tej przedziwnej duchowej mocy, jaka skupiała się w historycznej postaci. Nikt nie przedstawił grozy i wyniosłości postaci, w której duszy zogniskowała się tragedją współczesnej, historycznej epoki.

Żal nasz tem większy, iż w najbliższem gronie Marszałka byli artyści-malarze zdający sobie dokładnie sprawę z znaczenia artystycznego portretu-dokumentu, w rodzaju pozostawionych nam przez ubiegłe epoki.

Urok postaci J. Piłsudskiego pociągał nie tylko wszystkich współczesnych naszych artystów, lecz i patrjotyczne rzesze amatorów, które w poczciwości ducha znosiły do Belwederu wizerunki Wodza, z soli, nieudolnie kładzionych farb, lub naiwnie kopjowanych fotografji.

Historyczną wartość posiadają przedewszystkiem nieliczne z natury pochwycone portretowe szkice. Nie możemy w tem miejscu wymienić nazwisk wszystkich autorów, lecz jedynie kilku najbardziej znanych, jak Kazimierza Młodzianowskiego, Leona Wyczółkowskiego, Jana Gumowskiego, Józefa Świrysz-Ryszkiewicza, Bolesława Kuźmińskiego, Tadeusza Pruszkowskiego, Wincentego Wodzinowskiego, a przedewszystkiem Konrada Krzyżanowskiego, twórcy intymnego portretowego szkicu.



Wielu artystów stworzyło szereg udatnych reprezentacyjnych portretów. Poprzestać musimy na wymienieniu dzieł prof. Józefa Mehoffera (olej), Wojciecha Kossaka (olej), Kazimierza Sichulskiego (kompozycje symboliczne), Zygm. Grabowskiego (olej), Edwarda Kokoszki (olej), Henryka Jaworskiego (litografja), Bolesł. Kuźmińskiego (rys.). Popiersia wykonali między innymi: Konstanty Laszczka, J. Raszka, Antoni Madejski, Apolinary Głowiński, St. Lewandowski, St. Ostrowski, Olga Niewska, Alfons Karny, Antoni Miszewski i inni. Utalentowani nasi artyści stworzyli szereg portretów reprezentacyjnych o wysokich artystycznych walorach. Zasługi ich tem większe, iż mimo oporności modelu, każdy próbował rozwiązać kompozycję portretu, na swój indywidualny sposób. Pracą dotychczasową stworzono wartościowy podkład do przyszłego syntetycznego ujęcia, w plastycznej formie, wizerunku Tytana polskiego Czynu.

M. Dienstl-Dąbrowa.

Na lewo: Konrad Krzyżanowski (olejny).





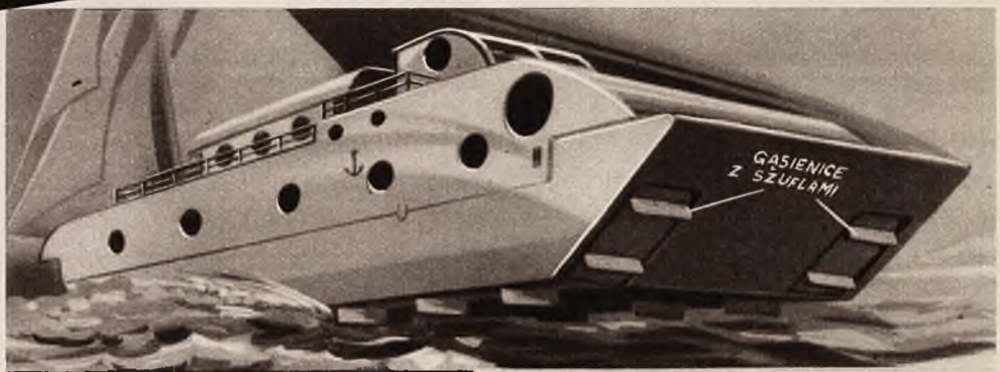


W kole: Jan Raszka (medaljon).

U góry: Józef Mehoffer (olejny).

Na prawo: Wojciech Kossak (olejny).

O REKORD SZYBKOŚCI NA MORZU.

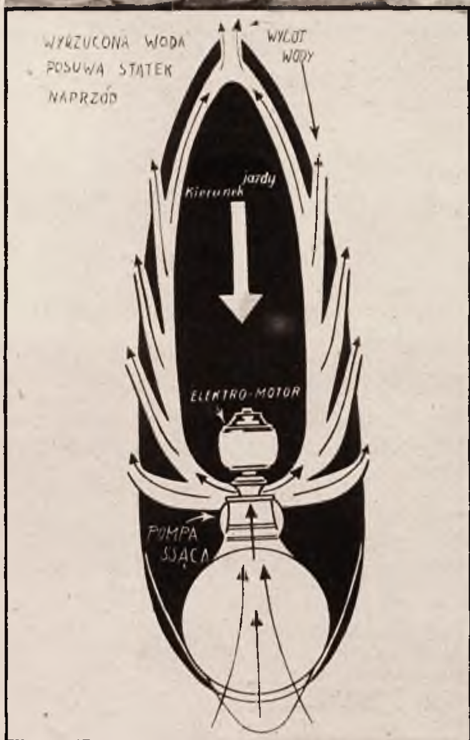


Model statku-ślizgowca, zaopatrzonego w gąsienice z szuflami, które poruszają okręt z wielką szybkością.

Dobrze i wygodnie odbywa się podróż na nowoczesnych olbrzymach transatlantyckich. Koszmar wszystkich szczurów lądowych inaczej zwany chorobą morską jest już niemal że pokonany. Nowoczesne transatlantyki zaopatrzone w potężne giroskopy, prawie że zupełnie usuwają tak przykre wstrząsy, spowodowane kołysaniem się statku. Nie zdajemy sobie jednak sprawy z tego, jakim wielkim kosztem osiągnięto stosunkowo nieznaczne wyniki. Znany okręt włoski „REX", zużywa dziennie 1.100 tonn oleju, służącego jako materjał napędowy, dla osiągnięcia normalnej szybkości 26 węzłów na godzinę czyli 48 km na godzinę. Przypuśćmy, że z jakiegobądź powodu jakiemuś miljarderowi, podróżującemu tym okrętem zachciało się, aby szybkość tego statku powiększyć o 3 węzły czyli o 5.5 km na godzinę. Czy wiecie, ile ten kaprys, skądinąd bardzo skromny, kosztowałby? Oto nie mniej niż 20.000 dolarów przy jednej podróży transatlantyckiej. Na przyspieszenie szybkości o 3 węzły musianoby bowiem zużyć dalsze 150 tonn paliwa płynnego na każde 24 godzin podróży. Powiększenie szybkości o nieco więcej niż 10 proc. powoduje zatem wzrost wydatków w postaci paliwa o około 40 proc.

A jaka jest tajemnica tej niesłychanie małej wydajności środków napędowych na okrętach? Jest to dość nieubłagane prawo fizyczne o wpływie wzrastającej szybkości na zwiększenie oporu, które najlepiej zrozumiemy na przykładzie. Jeżeli szybkość jakiegoś statku ma wzrosnąć dwukrotnie, to moc jego maszyn musi wzrastać ośmiokrotnie. Gdy zaś szybkość chcemy powiększyć 3 razy to moc maszyn musiałaby wzrosnąć 27 razy. Teraz już chyba wszyscy rozumiemy, co jest przyczyną, że nawet najszybsze statki na morzu nie robią więcej, jak około 80 km na godzinę. Osiąga się wprawdzie na motorówkach i ślizgowcach jeszcze o wiele większe szybkości, ale tam właśnie moc motorków jest nieproporcjonalnie wielka do pojemności łodzi. Natomiast na każdym większym statku wzrost szybkości o 1 km kosztuje tyle, że przeważnie zadowalamy się małą szybkością.

Rozumiemy teraz dążenia wynalazców do obejścia w jakibądź sposób tego prawa fizycznego. Jedni robią to przez zmianę kształtu okrętu i nadanie mu takich linij, aby woda stawiała mu jaknajmniejszy opór. Pod tym względem nowoczesne statki wykazują wyraźną tendencję do przybrania kształtu podobnego do ryby. Ta rybia figura zdaje się najbardziej odpowiadać żywiołowi wodnemu. Inni jednak usiłują dobić do celu przez zmianę sposobu działania środka napędowego. Przypominacie sobie zapewne wszyscy, jak wyglądają nasze dzielne statki rzeczne. Z jakim hukiem i rozmachem rozpryskują pianę koła łopatkowe parowców rzecznych. Otóż jeden z wynalazców pragnąłby zbudować ekspres wodny, który po obu stronach miałby takie łańcuchy z łopatkami. Tych łopatek byłoby bardzo dużo, wskutek tego także i szybkość osiągana, mogłaby być znaczna. Tak przynajmniej rozumuje ów wynalazca. Wątpimy jednak czy taki czołg wodny byłby bardzo przydatny w podróży po oceanie. Może już prędzej



Model okrętu (na prawo) o niezwykłych kształtach, poruszanego zapomocą olbrzymiej pompy (schemat powyżej), która wciągając wodę przez otwór na przodzie statku i wyrzucając ją bocznemi kanałami powoduje ruch okrętu.

na wodach płytkich, które są właściwą domeną statków o małem zanurzeniu, poruszanych kołami łopatkowemi.

Dla statków morskich zdaje się jednak, że najpraktyczniejszy jest napęd śrubowy. Otóż gdybyśmy umieścili śrubę lub też rodzaj turbokompresora w środku statku, rezultat powinien być jednak bardzo interesujący. Przez otwory, znajdujące się na przodzie statku wpływałaby woda do tejże turbinki, która działa w tym wypadku jakgdyby pompa ssąsa. Tasama turbinka wyrzuca z wielką szybkością wodę do tyłu przez odpowiednie kanały. Jakiż tego rezultat? Woda odrzucona do tyłu popycha statek silnie ku przodowi. Czy nie przypomina to rakiety? Właśnie, że tak. Ma to być zatem rakieta wodna. Pomysł ten nie jest zgoła fantastyczny. Wypróbowany został już we Włoszech i w Niemczech. We Włoszech zbudowano niedawno pierwszy nowoczesny statek morski bez napędu śrubowego. Według orzeczenia komisji kontrolnej statek ten posiada o wiele większą wydajność motoru, aniżeli przy napędzie śrubowym. Ten sam pomysł zastosował inżynier Kort w Niemczech do napędu statków na wodach śródlądowych. Oryginalnie wygląda taki statek. Z daleka przypomina bardzo potwora morskiego, jakie czasami znajdują się w znacznych głębinach morskich.

Inż. A.





Oto jak sobie wyobrażano w XVII-tym wieku znaczenie „szóstego mocarstwa“ personifikowanego przez kobietę, odbierającą najświeższe wiadomości.

JAK POWSTAŁA PIERWSZA FRANCUSKĄ GAZETA?

Tysiące, dziesiątki tysięcy, a może i miljony dzienników, tygodników, gazet wszelkiego rozmiaru, wszelkich cen, wszelkiego gatunku rodzi się dzień w dzień na świecie. Strugi drukarskiego czernidła opuszczają raz wraz fabryczne magazyny, by czernić długie szpalty bezlicznych gazet.

A jednak, a jednak... Uwierzyć w to trudno, że dopiero w roku 1631, że trzysta lat temu ujrzała światło dzienne pierwsza gazeta francuska. Pomysł jej powstał przypadkiem: zresztą tak, jak wszystkie dobre i wielkie pomysły.

Żył sobie wtedy w Paryżu pan Theophraste Renaudot. Przywędrował tu z Louden. Był niezawodnie człowiekiem sprytnym i przedsiębiorczym. I był dyrektorem wielkiego „biura adresowego“. Jego domu nie był w stanie ominąć nikt, kto chciał o swoim bliźnim zasięgnąć języka. Więc biegli do niego wszyscy: szlachta, wojskowi, kupcy, mieszczanie. Ale pan Renaudot był nietylko zdolnym przedsiębiorcą, ale i nader towarzysko usposobionym człowiekiem. Dowiadywał się o tem i o owem. A że nietylko był ciekawym, ale i rozmownym, przeto otrzymane wieści chętnie udzielał innym.

Aż razu pewnego wyrozumował tak: skoro ludzie tak bardzo łakną moich wiadomości, czyżby nie było korzystniejszem, by mi za te wiadomości płacili? Powstał — krótko mówiąc — pomysł wydawania gazety. W „króciutkich“ bo ośmiodniowych odstępach czasu poczęła się ukazywać ta pierwsza francuska gazeta „olbrzymiego“ — jak na owe czasy — formatu: pół arkusza in quarto.

Znaczenie zdobyła sobie szybko. Zrozumiał je mądry Richelieu. Raz po raz zwracał się do pana Renaudota o „wytwarzanie nastrojów“ lub „urabianie opinji“. Słychać, że pan Renaudot niezawsze bywał uległy życzeniom wszechwładnego ministra. Czuł już wtenczas swą potęgę... jednym z numerów swej gazety napisał wyraźnie: „Na tem miejscu prosimy książęta i państwa zagraniczne, aby nie broniły przystępu naszym wiadomościom. Nowina jest takim towarem, bez którego nie może obejść się handel. Jest ona niby wezbraną rzeką, która tem bardziej wzbiera, im większe się jej stawia przeszkody.

W pierwszym numerze swej gazety umieścił pan Renaudot nader charakterystyczną rycinę: na wzniesieniu siedzi niewiasta — personifikacja prasy. Konni i piesi, ludzie w rycerskich strojach i wieśniaczych kożuchach znoszą jej wiadomości. Po drugiej jej stronie wiadomości te idą „pod prasę“. skrzętnie spisywane przez jakiegoś czcigodnego męża.

Tak bywało właściwie naprawdę! Bo w najśmielszych nawet snach nie



Prymitywna drukarnia, w której układano z wielkim trudem pierwszą gazetę.

przywidział się panu Renaudotowi napewno ani telegraf, ani telefon, ani tembardziej „skromne“ radjo.

Gd.



Jedna z afrykańskich odmian motyla o kolorowych oczach na skrzydłach. robi niesamowite i tajemnicze wrażenie.

ten sposób skuteczną obronę przed nieprzyjaciółmi.

Jednym z najbardziej ciekawych sposobów walki obronnej jest zjawisko „hypnotyzowania“ swego nieprzyjaciela przez niektóre motyle. Posiadają one na skrzydłach swych osobliwe rysunki oczu, które w chwili, gdy motyl porusza skrzydłami, zdają się grozić nacierającemu napastnikowi. Prześladowca pod wpływem „spojrzenia tych oczu“ na chwilę zostaje unieruchomiony i jakby zahypnotyzowany. A tymczasem motyl, korzystając z przerażenia swego wroga, trwającego choćby kilka tylko sekund, rozwija swe skrzydła i ulatuje w bezpieczne miejsce.

Motyli takich nie brak i wśród naszych ciem pawików, które często ratują się w ten sposób przed napaścią ptaków. Robione doświadczenia z tymi „hypnotyzerami“ i ptakami, żywiącemi się owadami, dawały często w rezultacie zjawisko silnego przerażenia u ptaka i niechęć zbliżenia się do właściciela tajemniczych i zdających się grozić oczu. Bujny świat podzwrotnikowy posiada niemało przedstawicieli tych motyli, których groźny rysunek potęgowany jest niejednokrotnie fantastycznem i niesamowitem nieraz zestawieniem barw.

Dr Z. Maślankiewicz.

FORTELE WOJENNE ZWIERZĄT

Przyroda hojnie obdarzyła zwierzęta rozmaitemi właściwościami, które pozwalają im ratować życie w chwili grożącego niebezpieczeństwa. Broń jednych stanowią zęby, pazury, kolce lub dzioby, inne posiadają groźne i niebezpieczne nieraz żądła, nie brak nawet i takich, które — jak niektóre ryby — energją elektryczną bronią się skutecznie przed swymi prześladowcami. Zwierzęta bezbronne, jak zające, antylopy, żyrafy czy strusie ratują się ucieczką, korzystając z chyżości swych nóg, inne wzlatują na skrzydłach w przestworza. Niektóre ze zwierząt mają zdolność naśladowania swym wyglądem różnych, otaczających je przedmiotów, jak liści, owoców, kwiatów, kamyków, kory drzew tak, że trudno je bardzo zauważyć — inne wkońcu posiadają barwę ochronną, która sprawia, że dane zwierzęta na tle środowiska, w którem się znajdują, stają się niewidoczne.

Jakże trudno zauważyć zieloną żabkę drzewną, siedzącą na liściu lub zieloną gąsienicę czy pasikonika wśród zieleni traw. Zając, kuropatwa, przepiórka czy skowronek szarą barwą swego ciała nie wiele odróżniają się od podłoża, zwłaszcza szarej roli. Ćmy i niektóre chrząszcze są łudząco podobne do kory drzew, na których chętnie przebywają. W okolicach podbiegunowych pokrytych wieczną szatą śnieżną i lodami niedźwiedź biały, lis polarny i sowa upodabniają się do tła. Zwierzęta pustynne chroni przed niebezpieczeństwami ochronna barwa zbliżona do piasku.

Niektóre zwierzęta mają nawet możność zmiany ubarwienia w zależności od pory roku, jak gronostaj czy pardwa, które swe letnie ubarwienie zmieniają w zimie na białe. Są i takie, które do pewnego stopnia mogą zmieniać ton i intensywność zabarwienia swego ciała zależnie od rodzaju podłoża, jak wspomniana już żyjąca u nas zielona żabka drzewna, czy przedewszystkiem kameleon, którego zdolność zmiany zabarwienia stała się przysłowiową.

Wiele owadów posiada zdolność przystosowania się do otoczenia kształtem swego ciała, niektóre gąsienice do złudzenia przypominają suche gałązki, podobnie egzotyczne szarańczaki zwane patyczakami, trzymane nieraz u nas w hodowlach szkolnych — inne przypominają kształtem swego ciała liście itd.



Na prawo: Pawik ze złożonemi skrzydłami przypomina głowę niebezpiecznego gada.

Niektóre zwierzęta posiadają odstraszającą barwę ciała, której z powodzeniem używają do obrony przeciw napastnikom. Wystarczy wymienić naszą salamandrę z ognisto-żółtemi plamami wybitnie odbijającemi od czarnego tła jej skóry, czy żabę kumaka, który w chwili, gdy nieprzyjaciel się zbliża, odwraca się nagle brzuchem do góry, strasząc atakujące zwierzę jaskrawem zabarwieniem skóry brzucha.



Na prawo: Ochronę jednego z gatunków motyli amerykańskich stanowią zagadkowe rysunki na jego skrzydłach.

Słynny śmierdziel amazoński doskonale potrafi obronić się przed każdym napastnikiem wydzieleniem woni niezmiernie przykrej i przenikliwej, w podobny sposób bronią się liczne gatunki pluskiew, wiele owadów wydziela w chwili napaści ostrą i gryzącą ciecz, która odbiera apetyt i ochotę do konsumpcji napastnikowi.

Do groźnych przez swe żądła os upodabniają się swym wyglądem niewinne owady z innych grup, znajdując w



Na prawo: Skrzydła tego znów motyla posiadają nadwyraz piękny i delikatny rysunek.

CZTERY DOŚWIADCZENIA MR. ARMSTRONGA.

SIDNEY ◆ DENHAM

NOWELA

Ilustrował: ALFRED ŻMUDA.

Mimo najlepszych potraw, jakie podawano do stołu i najwytworniejszych win atmosfera przyjęcia była nieco napięta. Było rzeczą jasną, że jedyną osobą, która naprawdę umiała ocenić zmieniające się ciągle potrawy był Sinclair Armstrong, który otoczony swymi gośćmi siedział na pierwszem miejscu przy stole. Na pierwszy rzut oka można było poznać, że pan we fraku, siedzący po jego prawej stronie był artystą. Karta ze sztywnego bristolu, stojąca przed nim w srebrnej łapce nosiła nazwisko Charles Dixon. Po każdem daniu Dixon odsuwał niecierpliwie talerz. Gest ten znamionował człowieka, który nie umiał się cieszyć jedzeniem, i który wiedział zgóry, że deser będzie mniej miły.

Twarz sąsiada jego opalona od słońca miała wyraz bardzo obojętny. Ryszard Devlin miał zaledwie dwadzieścia pięć lat. Zachowanie jego jednak znamionowało, że pierwszorzędna kolacja, podczas której podawano świetne potrawy, na drogocennej porcelanie, przy świetle świec i z miljonerem jako gospodarzem, były to rzeczy dla niego zupełnie codzienne.

Dwaj pozostali goście robili wrażenie nieco bardziej zadowolonych. John Sayer nie zdawał sobie zupełnie sprawy z faktu, że miał na sobie ubranie, jakie się kupuje gotowe w drugorzędnych magazynach. Był może nieco mało pewny siebie, ale mimo to zapatrywał się na ten fakt zupełnie spokojnie. Neville Cradock, który siedział koło niego miał wyraz człowieka zadowolonego. Mimo to jednak obserwacji Sinclaira Armstronga nie uszły nerwowe jego ruchy, które wskazywały na pewien niepokój.

On sam był podobny do wszystkiego innego, tylko nie do miljonera. Na pierwszy rzut oka byłoby się go wzięło za oxfordskiego studenta, po bliższem jednak przyjrzeniu, natrafiało się na nieco twardy wyraz jego oczu.

Kolacja dobiegała końca. Służący przyniósł likier, kawę i cygara, poczem oddalił się, zamykając cicho za sobą drzwi. Zapłonęły zapałki, zapalając cztery cygara.

Wkrótce stół spowity był w niebieskawych obłokach dymu. Goście patrzyli pełni oczekiwania na swego amfitrjona. Sinclair Armstrong wygodnie oparł się w krześle i odłożył cygaro.

— Tak, proszę panów, jesteśmy teraz sami. Chcę panów poprosić o wypowiedzenie swego zdania. Eksperyment, który zrobiłem kosztował mnie dużo pieniędzy i był nieco długi, ale pieniądze nie robią mi przyjemności, chyba, że je używam w ten sposób. Mam nadzieję, że jeszcze przed końcem dzisiejszego wieczoru odniosę wrażenie, że dobrze ich użyłem.

Zrobił okólny ruch ręką i przyglądał się badawczo swym gościom.

Charles Dixon otworzył usta, jakgdyby chciał coś powiedzieć, zamknął je jednak wkrótce nie powiedziawszy ani słowa.

— Dwa lata są długim przeciągiem czasu. Mimo to jednak, jestem przekonany, że panowie nie zapomnieli tego szczęśliwego zbiegu okoliczności, który nas zgromadził w oddziale I. klasy w Scotland Expressie. Pan, panie Dixon i Cradock byliście zatopieni w rozmowie o stosunku pieniędzy do szczęścia. W rozmowie tej i my braliśmy udział we trzech. Ja wyrażałem mniejszość, gdyż byłem zdania, że nie pieniądze stanowią o szczęściu, lecz sposób, jak się je wydaje. W dalszym ciągu twierdziłem, że człowiek mimo stałych i wystarczających dochodów nie jest szczęśliwy.

Wszyscy obecni kiwnęli głowami potakująco.

— Nie wszyscy jednak panowie zgadzali się ze mną. Oświadczyłem, że jestem tylko laikiem w kwestjach psychologji. Twierdziłem też, że jest jej wadą, iż nie opiera się na dokładnych przykładach. Zaproponowałem wtedy panom, aby każdemu z was płacić 5.000 funtów szterlingów na przeciąg dwóch lat. Mam nadzieję, że panowie otrzymywali punktualnie dane kwoty?

Armstrong przerwał swoje przemówienie, goście zaś zrobili ruch potakujący.

— Świetnie — ciągnął dalej Armstrong. — Byli panowie pewno wtedy zdania, — że jestem jakimś zwarjowanym bogaczem. Miałem pewne trudności w przekonaniu panów, że tak nie jest i że zupełnie poważnie myślę o eksperymencie. Otóż ja z mej strony wykonałem swoje zobowiązania. Muszę teraz panów prosić, abyście to samo uczynili i z waszej strony. Przypominają sobie panowie zapewne, że zostawiłem panom swobodę wydawania pieniędzy, w poszukiwaniu za szczęściem. Chciałbym się teraz dowiedzieć, co panowie uczynili przez ten czas i czy jesteście szczęśliwi?

Twarz Armstronga rozjaśniła się w oczekiwaniu relacyj. Przyglądał się każdemu z obecnych. Wkońcu powiedział:

— Wybaczą panowie, jeżeli poproszę, abyście mi powiedzieli prawdę bezwzględną. Wnioski moje zależą od waszych relacyj.

Wypił łyk brandy i zwrócił się do swego sąsiada po prawej stronie.

— Pan, panie Dixon będzie miał pierwszeństwo w opowiadaniu, jako mój sąsiad po prawicy. O ile sobie przypominam, to twierdził pan przed dwoma laty, że potrzebuje pan jedynie kilka tysięcy funtów szterlingów, aby namalować arcydzieło.

Armstrong wyjął z kieszeni notatnik i ołówek i napisał w nim kilka słów. Rumieniec pokrył twarz Dixona. Od jakichś 30 sekund starał się on poważnie zastanowić i zgłębić. Pociągnął dym z cygara i zaczął mówić:

— Wygrał pan, panie Armstrong — rzekł krótko. Nie jestem obecnie bynajmniej lepszym artystą, jak poprzednio, ani też nie zbliżyłem się do sukcesu. Nie jestem też szczęśliwszy.

— Umiem ocenić pańską prawdomówność — odparł Armstrong ciepło. — Czy nie zechciałby pan opowiedzieć tego obszerniej?

Rozglądał się po obecnych. Devlin miał jeszcze ciągle znudzoną minę, Sayer patrzył się na swój talerz, a mina jego zdradzała myśl, którąby można było przetłumaczyć słowami: biedny warjacie!

— Zdawało mi się, że pieniądze umożliwią mi zetknięcie się z wpływowymi osobistościami, myślałem, że uwolni ono mnie od drobnych codziennych trosk, pozwoli oddać się najzu-

pełniej sztuce. Zdawało mi się, że będę mógł malować krzywe uliczki sycylijskie tak, jak je miałem we wspomnieniu z czasów mej podróży poślubnej.

Nastąpiła dramatyczna pauza. Gdyby nie był on wybrał malarstwa, jako swego zawodu, byłby z niego wspaniały aktor.

— Omyliłem się. Powróciłem do miasta, zaprosiłem szereg wpływowych osobistości, ale miasto straciło jakgdyby swój powab. Ludzie wpływowi nie przyjęli zaproszenia, natomiast zjawiło się naokoło mnie bardzo wielu darmozjadów. Przez cały rok łudziłem się nadzieją, że jednak przyjdzie odpowiedni nastrój. Powróciwszy do Anglji rozeszła się wśród kupców obrazami wiadomość, że jestem bogatym człowiekiem i zaczęli mnie uważać za dyletanta i amatora. Chwalono bardzo moje prace, ale nie kupowano ich.

O ile spoczątku Dixon mówił tonem przerywanym, o tyle później słowa jego płynęły nieprzerwanym tokiem.

— Przyzwyczaiłem się, że obsługiwano mnie ze wszystkich stron. Ja sam już wogóle nic nie robiłem. W przeciągu sześciu miesięcy nie wykończyłem ani jednego obrazu. Doszedłem teraz do tego stanu, że chciałbym powrócić do pracy. To też sprzedałem wszystko, rozpuściłem moją służbę i zamknąłem mój duży dom. Cieszę się naprawdę na jutrzejszy dzień, w którym skończy się pański eksperyment. Wtedy to będę naprawdę na siłach stać się tym, którym byłem przed poznaniem pana. Nie będę malował tylko dla zarobku, ale dla samej sztuki. Jeżeli będę zarabiać tem lepiej, jeżeli jednak nie, to się obejdzie.

— Dziękuję panu, panie Dixon. Zużył pan moje pieniądze wcale dobrze.

Armstrong zapisał sobie coś w notatniku Cofnął nieco swoje krzesło, jakgdyby chciał lepiej przyjrzeć się obecnym i zapytał:

— Panie Sayer, co pan ma do powiedzenia?

Sayer zwilżył nieco usta i robił wrażenie, jakgdyby szukał słów. Był on urzędnikiem w kancelarji adwokackiej i swoją obecność w pierwszej klasie owego wieczoru zawdzięczał jedynie przypadkowi. Miał bowiem przewieźć ważne dokumenty, to też jego mocodawcy uważali ten sposób przesłania dokumentów za najlepszy.

— Nie mam panu nic specjalnie ciekawego do zakomunikowania — rzekł wkońcu, odkładając swoją serwetkę. — Przypuszczam, że będzie się pan śmiać, skoro pan usłyszy moją historję.

Wszyscy uśmiechnęli się, gdyż byli naprawdę ciekawi, co ten mały, dosyć pospolity człowiek, z siwiejącemi skroniami mógł uczynić z pieniędzmi.

— Przehulał pan pieniądze w Monte Carlo? — zauważył Devlin.

— Raczejbym przypuszczał, że jakaś damulka pana ich pozbawiła — zaśmiał się Cradock.

— Może byłoby najlepiej, gdybyśmy pozwolili panu Sayerowi opowiedzieć jego historję? — zauważył Armstrong.

— Oddawszy dokumenty, które wiozłem ze sobą, spędziłem następną noc w hotelu — rozpoczął swe opowiadanie Sayer. Gdy powróciłem następnego dnia do domu, zastałem pański czek. Moja żona była obecna przy otwieraniu koperty. Mówiąc szczerze aż do tej chwili byłem przekonany, że pan nas chciał wystrychnąć na dudka, gdy pan kazał sobie podać nasze adresy. Przy otwieraniu koperty wyleciał czek, opiewający na 1.250 funtów, czyli na większą sumę, niż zarobiłem w ostatnich dziewięciu latach. Opowiedziałem żonie całe zajście w wagonie.

Wszyscy obecni roześmiali się przy tych słowach, tylko Armstrong zachował zupełny spokój.

— Zapewniłem ją, że nie pożyczyłem panu ani grosza, ani też, że nie może to być z pańskiej strony złym żartem. Poszliśmy oboje do banku. Otrzymawszy pieniądze złożyliśmy je w kasie oszczędności.

— No i?

— Oto i wszystko, panie Armstrong. Pieniądze jeszcze mam ze wszystkiemi procentami, które narosły. Moja żona orzekła, że nie można tego kapitału ruszać, gdyż i tak z tego nic dobrego nie może powstać. Z tego też powodu pracowaliśmy ciężko dalej. Moja żona oczekuje teraz odemnie wyjaśnienia, co pan z temi pieniądzmi zamierza dalej robić.

— Chyba dosyć wyraźnie panu powiedziałem, że pieniądze do pana należą i że może pan z niemi robić co panu się podoba, — uważam jednak, że lepiejby było tak, jak pan tę sprawę poprowadził, niż żeby pan pieniądze te przegrał w Monte Carlo. Czyż nie miał pan pokusy wydania ich?

Sayer spuścił oczy.

— Z początku, proszę pana, miałem rzeczywiście pokusy. Najprzód jak potrzebowałem nowej maszyny do cięcia trawy, a następnie gdy synek mój opuścił szkołę, nastręczały się wydatki. Lecz żona moja twierdziła, że stara maszyna jest jeszcze dosyć dobra, a dla synka naszego będzie lepiej, jeżeli postara się o stypendjum szkolne, gdyż — jak twierdziła — będzie to bodźcem do dalszej pracy.

— Zdaje się, że pan ma mądrą żonę i należy panu powinszować z tego powodu, a co do pieniędzy, nie mogę ich oczywiście wziąć sprowrotem.

— Niech pan pozwoli, że ja je dla pana ulokuję w banku — zauważył Cradock. Za trzy tygodnie oddam je panu podwojone.

Armstrong, ignorując powiedzenie Cradocka, zauważył.

— A co z panem, panie Devlin słychać?

Devlin milczał przez chwilę. — Nic się u mnie nie zmieniło, proszę pana — zamruczał. Wydałem wszystko co do ostatniego grosza i obecnie mam znowu dosyć duże długi. Miałem je zresztą i przedtem.

— Czy pan miał długi dwa lata temu?

— Oczywiście. Zwykłe długi — krawiec i tym podobne. Przejechałem się dwa razy naokoło świata, lecz stwierdziłem, że niema wielkiej różnicy między Honolulu a Hounslow. Natura ludzka wszędzie jest jednakowa.



Kolacja dobiegała końca...

— I nie robił pan żadnych interesów, nic pan nie pracował?

— Interesy? Ależ owszem bez końca. O godzinie 8.35 zdołałem złapać pociąg, o 11-tej poszedłem do kawiarni, prowadziłem długie, nudne rozmowy przy lunchu, następnego dnia przespałem aż do herbaty, o godzinie 5.45 znów złapałem pociąg, aby pojechać do domu. Wychodzi jednak na to samo, czy się jeździ lub nie, i chodzi tylko o to, aby coś o danej porze robić!

— Trudno pana zadowolić, panie Devlin. Czy panu pieniądze na nic się nie przydały?

— Przykro to powiedzieć, ale pan chce przecież wiedzieć prawdę. Raz lub dwa razy zapłaciłem mego krawca, w każdym razie pieniądze pańskie przeszły do innych rąk. Nie zmienia to postaci rzeczy. Jutro wyjeżdżam.

— Pan wyjeżdża? — zapytał się Amstrong z zainteresowaniem.

— Kupiłem sobie jakąś wannę, czy coś w tym rodzaju i zamierzam na tym wehikule pojechać do Południowej Ameryki, jedynie w towarzystwie mojej żony. Ożeniłem się w przeszłym tygodniu. Moja żona jest zdania, że będzie wcale wesoło na okręcie.

Amstrong zamyślił się na chwilę. — Nie wiem, czy pan dobrze swoje pieniądze zużył — rzekł, uśmiechając się. Boję się, że pan nie dotrze do Południowej Ameryki. Byłoby mi przykro, gdyby pan miał stracić swoją dzielną żonę, z którą się pan ożenił.

—O, dla Cecylji to jest tylko sport! Twierdzi ona, że lepiej dać się zjeść rekinom w morzu, jak rekinom hotelowym.

Wszyscy roześmiali się głośno, słysząc te słowa. Armstrong zwrócił się do Cradocka.

— Jest pan ostatni, panie Cradock, — rzekł, robiąc zapraszający gest ręką. Cradock odłożył cygaro i zaczął mówić.

— Co do mnie, to wcale ładnie popracowałem temi pieniędzmi. Zdołałem je potroić, czterdzieści tysięcy funtów szterlingów, a jeżeli ten interes, który obecnie rozpocząłem dojdzie do skutku, będę mógł wypisać czek na 250 tysięcy funtów.

— Ale ja się nie pytałem o pieniądze. ale o szczęście, drogi panie.

— Jestem zupełnie zadowolony. Pieniądze nigdy nie są balastem. Tylko warjaci tak twierdzą. Ja umiem obchodzić się z pieniędzmi i tylko brak kapitału przeszkadzał mi w operacjach.

— Bardzo mądrze z pańskiej strony. A pańskie osobiste sprawy? Słyszałem, że żona pańska... Amstrong urwał nagle. Cradock zmienił się na twarzy.

— Czy pan myśli o tej sprawie z przeszłego miesiąca? Czyniłem wszelkie możliwe starania, aby się to nie dostało do gazet. Ale kobiety są poprostu komiczne. Kobieta, która protestuje przeciwko temu, że się ma kilka przyjaciółek nie jest godna, aby ją przy sobie trzymać.

— Zdaje się, że pan jakąś kobietę olśnił swemi pieniędzmi i zawiózł ją do Południowej Francji... Ale czy był pan zupełnie szczęśliwy?

— Ach, była poprostu małą, głupią warjatką. Mogła całą sprawę załatwić jednem małem kłamstwem. Z mojemi pieniędzmi mogę dostać wiele takich kobiet.

— Czy myślał pan o szczęściu tej bezimiennej pani A? — Armstrong podkreślał każde słowo. — Czy myślał pan o jej mężu?

— Przecie mówiliśmy o mojem szczęściu, a nie o czyjemś innem! — wykrzyknął Cradock zdenerwowany. Nie rozumiem wogóle dlaczego pan tę sprawę miesza do naszej rozmowy?

— Szukam prawdy, panie Cradock. Mówił pan, że pan jest zupełnie szczęśliwy. Może pan nie zna prawdziwego nazwiska pańskiej bogdanki tej pani A?

Wszyscy obecni patrzyli się na Cradocka, inaczej byliby zauważyli straszny wyraz twarzy Armstronga. Oczy jego rzucały błyskawice, ostra jego broda jeszcze bardziej się wydłużyła.

Cradock potrząsnął głową, i nieco zbladł.

— Nazywałem ją tylko... kotką!

— Tą kobietą, panie Cradock, była pani Armstrong, moja żona. — Głos Armstronga brzmiał lodowato. Pan twierdził przed nią, że pan jest kawalerem, wmawiał pan w nią, że mąż ją zaniedbuje. Posyłał pan jej kwiaty w mojej nieobecności. — Armstrong pochylił się nieco naprzód, Cradock zgasił swoje cygaro. — Teraz panu wszystko wypłacę, panie Cradock. — Głos Amstronga stał się groźnym, jakgdyby był sędzią, który ogłasza wyrok.

— Mnie wypłacić?

— Nie jak dotąd panu płaciłem, lecz w pańskiej brudnej monecie. Pańskie czterdzieści tysięcy funtów mają służyć do podbicia w kursie akcyj Południowego Morza? Ale przecież każdy grosz tej sumy...

Cradock naraz zamilkł i stał się poprostu szary na twarzy.

— Wiem, że tak jest, panie Cradock. Przypuszcza pan, że akcje z tego powodu podskoczą naraz wgórę? Owszem, pójdą wgórę. Ale nie przed chwilą zanim z pana nie zrobię żebraka. Z łatwością mogę kupić ten pakiet akcyj, a akcje będą upadać tak długo, aż pan zupełnie nie wyczerpie swych kapitałów.

Nastąpiła chwila śmiertelnej ciszy. Cradock siedział w swym fotelu, jakgdyby się załamał w sobie i patrzał przed siebie błędnym wzrokiem. Armstrong pociągnął dym ze swego cygara i odłożył je potem spokojnie na popielniczce. Sayer i Dixon przypatrywali się całej scenie z napięciem. Wkońcu gospodarz odsunął swoje krzesło.

— Bardzo miły wieczór, moi panowie. Pozostaje wprawdzie kilka szczegółów do załatwienia, ale mogą one poczekać. — Wszyscy wstali za wyjątkiem Cradocka. Nie zwracano na niego uwagi, aż do chwili, kiedy wstał gwałtownie z krzesła i uderzając pięścią w stół, krzyknął:

— Niema pan prawa tego uczynić, panie Armstrong. Przecie nie wiedziałem, że to jest pańska żona. Chce pan naprawdę rzucić na rynek? — Oczy jego nabiegły krwią. — Dla pana to jest fraszka, jest pan bogatym człowiekiem. — Głos jego brzmiał płaczliwie, ale nie znajdował współczucia u obecnych. — To jest świństwo! — krzyknął nakoniec Cradock i urwał.

— Zdaje się, że pan chce już iść, panie Cradock — rzekł Armstrong, zadzwonił na służącego i rzekł do niego skoro wszedł:

— Pan Cradock życzy sobie wyjść.

Cradock wyszedł, zataczając się. — Dziś wieczorem jeszcze był bogaty, w przyszłym tygodniu będzie zrujnowany, jeżeli nic nie zajdzie nowego — myślał.



Cradock wyszedł zataczając się...

Po wyjściu Cradocka, Armstron
zwrócił się do swych gości:

— Proszę może panowie jeszcze s
napiją szklaneczkę, przyda się wam t

Obecni napełnili szklanki i wypi
stojąc. Dixon przerwał milczenie.

— Przypuszczam, że należałoby p
nu teraz podziękować — rozpoczął.

— Ach, głupstwo, panie Dixon
przerwał mu Armstrong. Zamierzałe
zrobić eksperyment psychologiczny,
panowie mi w tem pomogli. Gdyby
jednak wiedział, że pieniądze będą z
żyte w ten sposób... — zrobił ruch r
ką w stronę drzwi, za któremi zni
Cradock.

— Sprawa rzeczywiście bardzo prz
kra. Czytałem o tem w pismach
wtrącił Dixon, ale nie miałem pojęci
że pani Armstrong...

— Moja żona? — Twarz Armstrong
przybrała jakiś śmiejący się grymas.
Czy pan też się dał nabrać? Drogi p
nie, jestem zbyt dobrym psychologien
aby być człowiekiem żonatym. N
mam zielonego pojęcia, kto jest pani
A.!

— Pan jest kawalerem? — wyrwa
się okrzyk obecnym.

— Dziwiłem się też zaraz, że Cra
dock właśnie pańską żonę mógł uwieś
A akcje Południowego Morza?

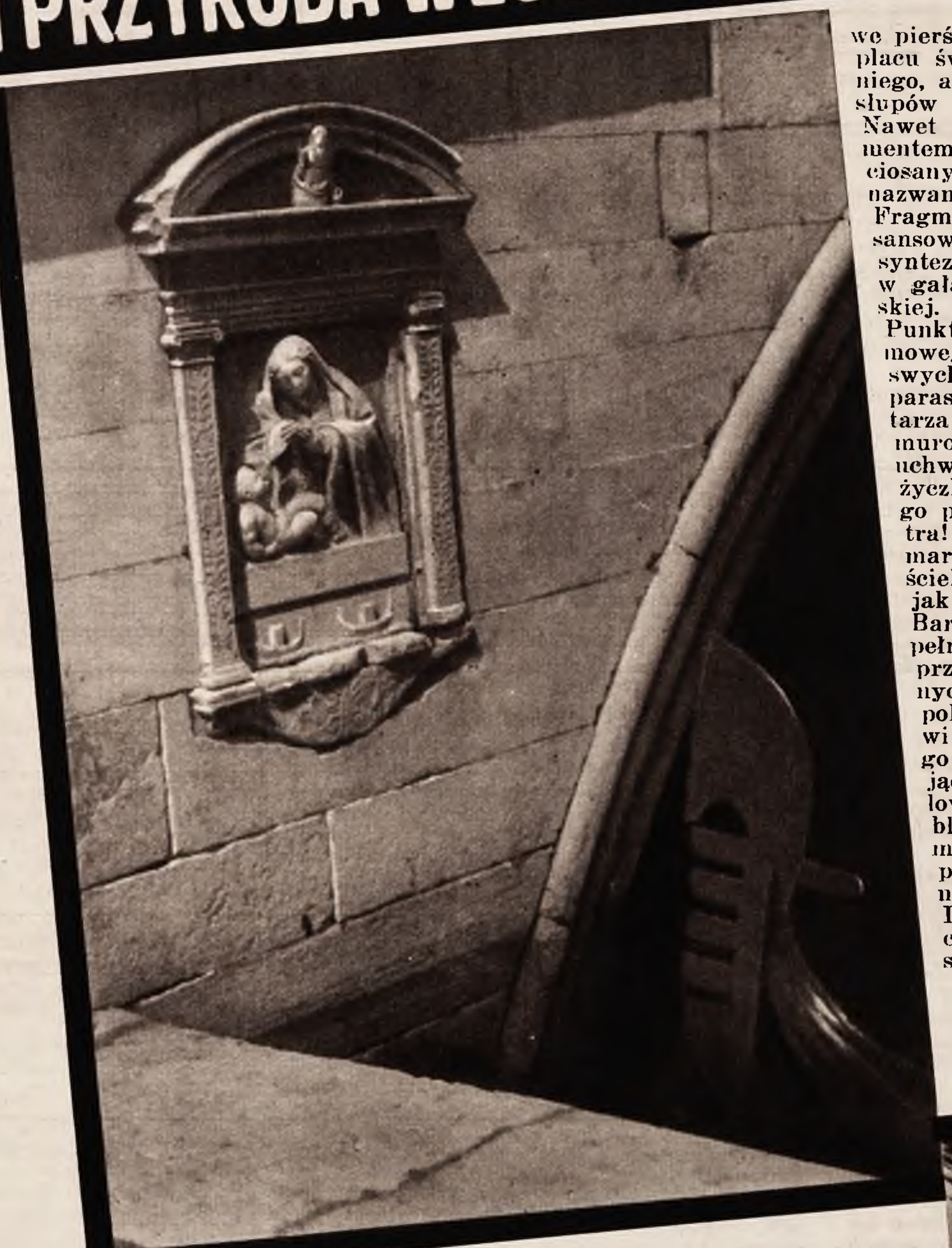
— Nawet nie dotknąłbym się tyc
akcyj — odrzekł Armstrong. — O
sam się o tem przekona, jak przyjdzi
do swego banku. Wymyśliłem tę hi
storyjkę tylko dlatego, aby wystawi
na próbę twierdzenie Cradocka, że je
dynie pieniądze dają szczęście.

Wszyscy obecni spojrzeli zdziwien
na swego gospodarza. Bluff! Wszyst
ko było tylko bluffem. Skierowali si
ku drzwiom.

— Panie Armstrong — rzekł Dixon
jestem przekonany, że gdyby się pa
zgodził na dwanaście posiedzeń, t
mógłbym namalować arcydzieło!

(Tłum. Jgm.)

ARCHITEKTURA I PRZYRODA WŁOCH W POLSKIEJ FOTOGRAFJI



Typowy zakątek Wenecji z renesansową Madonną i charakterystycznym dziobem gondoli.
Zdjęcia Fot. dr. T. Przypkowski.

Założony w ubiegłym roku w Warszawie Instytut Kultury Italskiej „Istituto Italiano di Cultura" w Warszawie, posiada oddział swój w Krakowie przy ul. Sławkowskiej 12. Prócz licznych odczytów, wygłaszanych przez gości przyjezdnych z Włoch i miejscowych uczonych, urządzono w b. roku dwie wystawy prac malarzy polskich, którzy przebywali na studjach artystycznych w Italji. Chodziło o wykazanie, jak włoskie niebo, krajobraz, przyrody i zabytki architektury działają na twórczość naszych artystów. Wyniki okazały się bardzo dodatnie. Obecnie d. 7 bm. otwarto wystawę artystycznych fotografij dra Tadeusza Przypkowskiego, zawodowego history ka sztuki, szefa propagandy miasta Warszawy. Zdjęcia te są nowoczesne w całem tego słowa znaczeniu. W przeciwieństwie do dawnego nudnego sposobu zdejmowania frontalnego, na fotografjach dra Przypkowskiego widzimy osobliwe podejście do przedmiotu. Oto chwyta on np. widok świątyni doryckiej w Paestum (na południe od Neapolu) poprzez kolumny drugiej świątyni, albo poprzez te kolumny urywek nieba ze światłem przedzierającem się przez obłoki. To znów stary romański krużganek klasztorny ze słońcem rzucającem jasne plamy wśród uroczych murów. Poprzez łuk okienny oglądamy przecudny ogród siedemnastowieczny, skąpany w słońcu. Jak pięknie wyglądają fasady florenckich i palermitańskich kościołów widziane spoza zasłaniających je nieco palm i cyprysów.

Specjalnością dra Przypkowskiego jest chwytanie pięknych fragmentów, nawet bardzo drobiazgowych. Oto zdjęte z góry stopnie sławnej areny w Weronie jak i greckiego teatru w Syrakuzie, zataczające przedziwne umiarowe pierścienie. Znamy dobrze olbrzymie ujęcie placu św. Piotra w Rzymie kolumnadą Berniniego, ale tu uchwycone są potężne podstawy słupów tej kolumnady, ze światłami i cieniami. Nawet nie gardzi dr Przypkowski takim fragmentem, jak samym murem pałacu, z pięknie ciosanych ostrosłupowych kamieni, w od nich nazwanym Palazzo dei Diamanti w Ferrarze. Fragmencik kanału, z dzióbem gondoli i renesansową na murze Madonną, to taka świetna synteza Wenecji, jaką jest np. ujęcie wiosny w gałązce kwitnącej wiśni w sztuce japońskiej.

Punkt widzenia bywa przedziwny. Pnie palmowej alei tworzą ciekawą kolumnadę ze swych nasiekanych pni, to znów jakby wielki parasol, palma zdjęta od dołu. To samo powtarza się w architekturze, las strzelistych marmurowych wieżyczek medjolańskiej katedry uchwycony z góry, ze szczytu głównej wieżyczki! Kolumnada genueńskiego barokowego pałacu zdjęta wskośnie z pierwszego piętra! Przeciążony barokowemi rzeźbami w marmurze szczyt neapolitańskiej wieży kościelnej widziany wskośnie zdołu, podobnie jak przesławnej fasady Certosa di Pavia.

Bardzo trudne są zdjęcia pod światło przy pełnem słońcu, ale dają zato przedziwne przeciwstawienie blasku części oświetlonych i głębokich cieni. Tak w porcie neapolitańskim w głębi widać dymiący Wezuwiusz, a bliżej, spoza szczegółów pierwszego planu, lśni fala. Wąska i kręta, spinająca się ku górze uliczka w Sienie, w połowie pogrążona w cieniu. Słońce rzuca swe blaski na mostek weneckiego kanału, a mrok panuje w przepaścistych pałacach patrycjuszowskich i w ciasnych między nimi uliczkach.

Dr Przypkowski nie gardzi też nową architekturą, wydobywając jej dodatnie strony.

Ks. dr Tad. Pomian-Kruszyński.

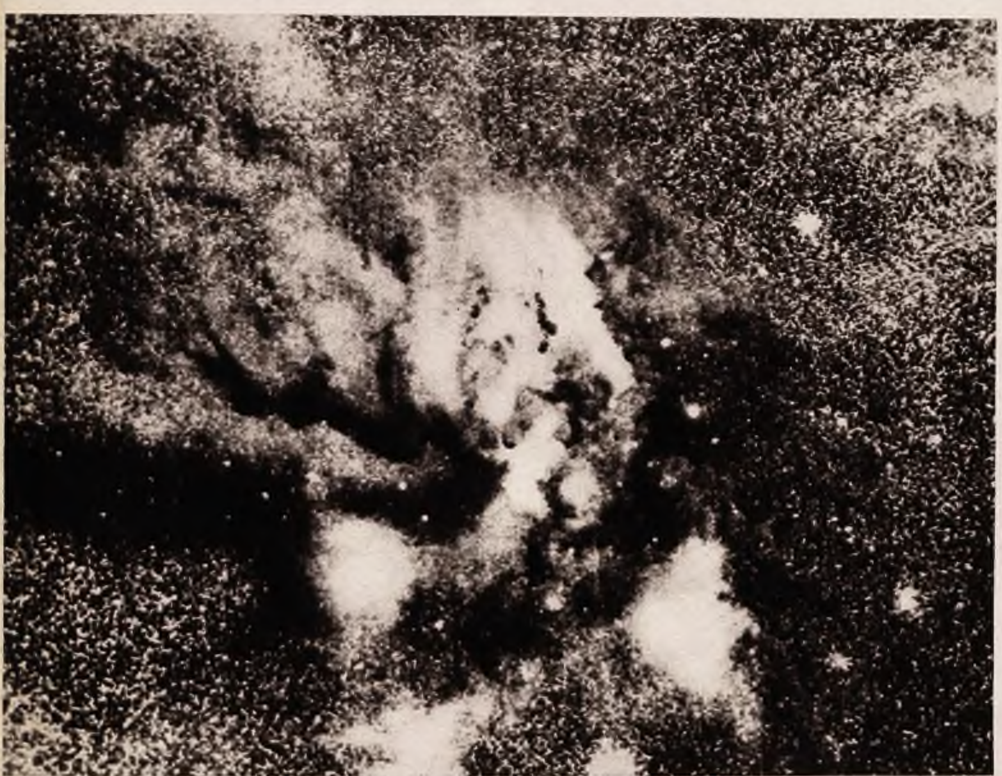
Poniżej: Ciekawe zdjęcie palmy sycylijskiej, tworzącej wspaniały parasol.



***IL DUOMO W MEDJOLANIE**, wybudowany z białego marmuru z 365 wieżyczkami — prawdziwe arcydzieło średniowiecznej architektury.*
Fot. dr. T. Przypkowski.



CZŁOWIEK PISZE SWĄ HISTORJĘ W KOSMOSIE...



Ogrom wszechświata: Część Drogi Mlecznej w gwiazdozbiorze Wężownika.

Ktoś raz powiedział, że wiedza ludzka zrodziła się ze zdziwienia. Człowiek ol-ony mnogością i różnorodnością zjawisk, czął dochodzić do ich źródła, począł ba-ś ich tajemnice, a potem... potem starał własnemi skromnemi siłami i środkami wiska te powtarzać. Zrodziła się w ten osób nauka eksperymentalna, powstał ten sposób jej dorobek, objęty nazwą wie-/ ludzkiej.

W początkach, u kolebki wiedzy ludz-j, człowiek szukał dla siebie miejsca na mi. Uważał siebie i ziemię, na której uj-ił światło Boże, za czynniki najważniej-w kosmosie.

Z biegiem wieków człowiek począł pogłę-ć obserwację otaczających go zjawisk, czął szeregować je w logiczny łańcuch. W swojem dążeniu do poznania, człowiek ka dla siebie miejsca w dalekim kosmo-, stara się zgłębić źródło swego pocho-nia, celu swego trwania oraz swej nie-nej przyszłości.

Szukając odpowiedzi na te pytania, czło-k minionych stuleci obserwował pilnie bo, starając się ze zjawisk na niem za-odzących odczytać swe przeznaczenie. Sta-/ nomadzi, błądzący po pustyniach, a ientujący się wedle gwiazd, stworzyli po-d, że wszystko co się dzieje na ziemi t odbiciem tego, co się dzieje na niebie. adli oni podwaliny pod wiedzę, która zetrwała wiele wieków i zaprzątała naj-sze umysły ludzkie, a mianowicie pod rologję.

Z wielkiej przestrzeni kosmicznej płyną wieków ku nam sygnały. Sygnały te są znorodne, a wyrażają się w zjawiskach, kie obserwować możemy pośrednio czy bezpośrednio. Te sygnały były tajemni-ym alfabetem, który starał się człowiek cyfrować, a czytając księgę kosmosu na dstawie poznanych znaków, dochodził do nych, nieraz frapujących wniosków.

Najważniejszym z tych wniosków był ten, óry stwierdził, że życie ludzkie jest ge-tycznie związane nietylko z życiem na ziemi, ale z kosmosem. Wiemy dziś ponad wszelką wątpliwość, że przedewszystkiem słońce jest wielkim dawcą życia na ziemi i bez niego panowałaby martwota. Do ży-cia potrzebne jest światło i ciepło. Z wielu miljardów słońc, krążących w bezdennej przestrzeni kosmosu to jedno nasze jest wy-łącznie dawcą życia.

Dalsza analiza sygnałów, a przedewszyst-kiem najważniejszego z nich, t. j. światła, doprowadziła nas do poznania wielu tajem-nic kosmosu. Ustaliliśmy, że ziemia jest zni-komym pyłkiem w świecie, że nie jest naj-ważniejszym tego świata szczegółem. Do-szliśmy do wniosku, że poza ziemią i słoń-cem istnieją miljardy ciał niebieskich, prze-wyższających swemi rozmiarami nawet sy-stem słoneczny. Oto niedawno odkryliśmy nowy sygnał, idący ku nam z kosmicznej przestrzeni. Nazwaliśmy go kosmicznemi promieniami. Dla zbadania tych promieni wznoszą się wysoko ponad ziemią strato-staty. Dla zbadania tych promieni najtęż-sze umysły ludzkie ryzykują swe życie. Je-steśmy w tej chwili zaledwie u progu tajem-nicy tych niezwykłych promieni, a już tak wiele tajemnic one nam odsłoniły. Pozwo-liły na sięgnięcie w głąb materji i szcze-gółowsze poznanie jej struktury.

Badanie kosmicznego promieniowania za-równo świetlnego jak i ciemnego pozwoliło nam w dalszym ciągu na ustalenie cegiełek, z jakich świat jest zbudowany.

Wiemy dziś, jak wysoką jest tempera-tura odległych gwiazd, wiemy z jakich pier-wiastków są te gwiazdy zbudowane, potra-filiśmy obliczyć ciężar poszczególnych ol-brzymów kosmicznych, a nawet określić ciężar materji, zawartej w pustce kosmosu.

Stoimy dopiero u progu poznania, a już tak wiele wiemy. Pokolenia, które po nas przyjdą, wiedzieć będą spewnością więcej.

Na drodze swojej człowiek pozostawia ślady, z których w ciągu wieków powsta-je historja ludzkości. Człowiek pierwotny nie pisał historji. Mówimy o nim na podstawie znalezisk. Wnioskujemy z tych znalezisk, jak mieszkał, jak żył, czem się trudnił, w co wierzył. Człowiek późniejszy zostawił wię-cej śladów, nietylko w postaci przedmio-tów użytku codziennego, ale także śladów pisanych.

A człowiek dzisiejszy nietylko zostawia ślady na ziemi, człowiek współczesny pisze swą historję w kosmosie.

Dotychczas mówiliśmy o sygnałach z ko-smosu na ziemię. Zastanówmy się pokrótce nad sygnałami, jakie ziemia wysyła w ko-smos. Do niedawna były to sygnały bardzo blade, było to tylko odbicie promieni sło-necznych od ziemskiej powierzchni.

Przyszły teraz sygnały inne, tejsamej co światło natury. Sygnały te płyną z ziemi nieprzerwanie ku dalekim gwiazdom.

Warto czasem, siedząc przy głośniku ra-djowym, zastanowić się nad wielkością wy-nalazku, z którego korzystamy. Wiemy o tym wynalazku bardzo wiele. Ale nie w tem rzecz. Sprawa sięga nieco dalej.

Czy zastanowił się ktoś nad tem, co się dzieje z temi falami radjowemi, wypływa-jącemi ze wszystkich anten świata, a któ-rych tylko znikomy ułamek odbieramy na antenach naszych aparatów. Wiemy, że fale te biegną wysoko ponad ziemią, docierając aż do sfery Heaviside'a, położonej mniej-więcej 100 klm. ponad naszym globem. Stamtąd odbijając się wielokrotnie, okrąża-ją ziemię, docierając do licznych rozsia-nych na jej powierzchni odbiorników.

Czy jednak tak jest? Czy wszystkie fale odbijają się o zjonizowqaną warstwę at-mosfery, leżącą 100 klm. ponad ziemią?

Otóż nie wszystkie. Są takie, które prze-dostają się poza obręb tej warstwy i mkną daleko w kosmos. Tam natrafiając na cia-ła niebieskie, odbijają się od nich jak echo. Są takie, które odbiwszy się od dalekich gwiazd, mkną zpowrotem ku nam. To echo radjowe da się już dziś stwierdzić. Rzecz jasna, że ilość tej odbitej od ciał niebie-skich energji jest bardzo mała, bardzo ma-ło jej wraca na ziemię. Trzeba niezwykle czułych aparatów rejestracyjnych na to, ażeby podsłuchać echo naszych własnych głosów i znaków niesionych na falach ra-djowych we wszechświat.

Dziś technika nie zdobyła się jeszcze na tak doskonałe aparaty, któreby mogły wy-ławiać radjowe echa kosmiczne, z całą pre-cyzją i dokładnością. Aczkolwiek fale ra-djowe biegną z chyżością światła, wynoszą-cą 300.000 klm. na sekundę, to jednak od-ległości kosmiczne są tak duże, że czas po-trzebny na przebycie takiej fali z ziemi do gwiazd, wymaga nierzadko wieluset, a na-wet wielu tysięcy i miljonów lat.

Jeśli weźmiemy pod uwagę nasz mały sy-stem solarny, to tu fale odbite od planet czy od słońca, wrócą stosunkowo bardzo szybko na ziemię. Na fale wysłane w ko-smos przez pokolenie dzisiejsze, będą mu-siały czekać długie szeregi ludzkich poko-leń. Niektóre z nich, z tych dziś wysłanych fal wrócą może wtedy, kiedy na ziemi za-mrze życie i nie będzie komu słuchać ko-smicznego echa.

Falami radjowemi wysyłanemi z masz-tów antenowych niemal bez przerwy od wielu lat człowiek pisze swą historję w ko-smosie. Pisze ją nadawaniem depesz, odczy-tów, koncertów, przemówień i słuchowisk. Zaczął już pisać nadawaniem obrazów. Przyjdzie kiedyś czas, kiedy pokolenia przy-szłe będą nadsłuchiwały ech kosmicznych i będą czytały z nich historję pokoleń, któ-re dawno umarły. Może przyszłe pokole-nia będą nawet oglądały nas, a raczej na-sze obrazy, zagubione w kosmosie, a wysy-łane na radjowych falach. Człowiek dawny pozostawiał po sobie ślady na ziemi, czło-wiek obecny ślady te zostawia w kosmosie.

SAM.



Wspaniały widok roztacza się w okolicach Tronthjemu na liczne wysepki.

NA BŁĘKITNYM EKRANIE

Poniżej: Charakterystyczny krajobraz w fiordach norweskich.



Wspomnienia marynarza.

Granitowe masywy skał, piętrzących się nad spokojną tonią fjordów, mają w sobie urok jakiejś posępnej potęgi, która przygniata duszę.

Smutną ciszę przerywa tylko cichy plusk fal, uderzających o skaliste, niedostępne wybrzeże. Do granitowych bloków skał przytulają się małe, białe domki, które zdaleka wyglądają jak zabawki dziecięce.

Smutne musi być życie tych ludzi na pustkowiach, w obliczu posępnych zwałów skalnych, wiejących chłodem i pustką!

Z uczuciem wielkiej ciekawości podążyłem po raz pierwszy na ląd norweski w jednem z najstarszych i największych miast tego kraju — Tronthjem.

I tutaj — jak zresztą na całym świecie — natura ludzka potrafiła się przystosować do warunków. Norwegowie to naród dzielnych żeglarzy i rybaków; nie posiadając bogactw we własnej ojczyźnie, potrafią wywalczyć je sobie na morzu. Małe kutry rybackie zapuszczają się odważnie daleko w morze na połowy ryb. Wielu rybaków ginie podczas sztormów na mglistem morzu Północy, lecz nie odstręcza to innych. Pracują ciężko na chleb powszedni zmagając się z okrutnym żywiołem, tak, jak to czynili od wieków ich dziadowie i pradziadowie.



Chwila przed wyruszeniem statku w dalszą drogę...

Dziwny a bardzo charakterystyczny przypadek zdarzył mi się w tym zimnym, a tak niezmiernie miłym kraju.

Gdy pewnego wieczoru szybkim krokiem wracałem na okręt, usłyszałem za sobą wołanie:

— Piłsudski! Piłsudski!

Zaintrygowany, przystanąłem. Któż tutaj — pod kołem polarnem — wymawiał imię Pierwszego Marszałka Polski?

W tem dopadł mnie jakiś zaaferowany jegomość...

— Nareszcie... — wyszeptał po angielsku — nareszcie pana dogoniłem!

— O co właściwie chodzi? — spytałem, nic już zupełnie nie rozumiejąc.

— O, to proste — odparł mój jegomość, ciężko sapiąc. — To zupełnie proste. Poprostu poznałem mundur polskiej marynarki, a nie mogłem pana dogonić.

— No, dobrze... ale dlaczego pan wołał Marszałka Piłsudskiego, ja przecież...

— Ależ to proste... Wiedziałem przecież, że pan, jako Polak, zainteresuje się, kto w Norwegji woła imię waszego Marszałka i zatrzyma się pan, obejrzy, przystanie na chwilę, a przecież o to mi tylko chodziło.

Spojrzałem ze zdumieniem na tego mądrego człowieka, który okazał się tak przewidującym psychologiem .

— No, tak — ma pan rację — odrzekłem po chwili — ale skąd to panu przyszło tak nagle na myśl?

— No, jakże, to pan nie rozumie? Mundur polski... Polska... Piłsudski... to przecież są wyrazy, które się tak ściśle łączą, że wymawiając jeden z nich, myśli się o drugim. To przecież jasne!

— Tak, to rzeczywiście jasne! — odparłem w zamyśleniu. — Ale czem mogę panu służyć?

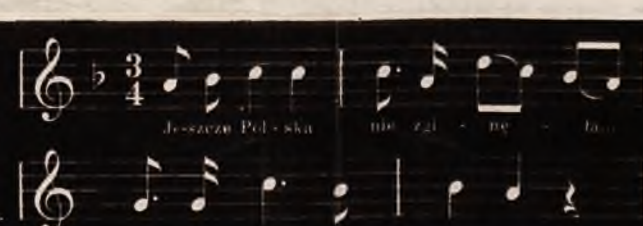
— Jestem filatelistą! — odparł mały człowieczek lapidarnie. — Interesuje mnie wymiana znaczków pocztowych.

Jan Mrozowicki, por. mar. handl.



Oficerowie na pokładzie swego statku.

WOJSKO ★ POLSKIE



Naród ma prawo istnieć tylko jako państwo. A państwa symbolem i państwa rzeczywistością jest przedewszystkiem armja.

Żołnierz polski od samego zarania naszych dziejów utrwalał granice i on ich bronił. Walczył na wszystkich frontach z wrogami, spieszył za ziemie graniczne z pomocą uciśnionym i nękanym narodom. Żołnierz polski był zawsze ucieleśnieniem najwyższych cnót rycerskich. Żołnierz polski był zawsze najświetniejszym ze wszystkich na świecie.

Wspaniałą jest historja polskiego wojska. W pierwszych dniach naszej państwowości broni granic Ojczyzny pospolite ruszenie, które odnosi największy triumf na polach pod Grunwaldem. Ale ustawiczne napady tatarskie zmuszają Polskę do pomyślenia o stałem wojsku zaciężnem, któreby na kresach wschodnich broniło ziem polskich. Gdy jednak z biegiem lat nadchodzą takie chwile dziejowe, że Polska musi prowadzić wojny obrończe niemal ze wszystkimi sąsiadami, Sejm uchwala powołanie do życia wojska stałego, którego początki sięgają połowy XVII wieku, a które rozwija się za czasów hetmana Sobieskiego, by już pod wodzą króla Jana III zdobyć jedno z największych zwycięstw polskiego oręża pod bramami Wiednia.



Marynarze przechodzą przed trybuną Pana Prezydenta Rzpltej na polu Mokotowskiem w Warszawie.



Piechota w mundurach z czasów Powstania Listopadowego z defilującymi samolotami jako symbolem współczesnej broni.



Oddział naszych tanków, biorący udział w wielkiej rewji wojskowej.

W wojsku naszem najświetniejsze triumfy odnosi jazda. Orle pióra wyrastają u ramion naszych husarzy, by dokumentować, że zakuci w stal rycerze zdruzgocą każdą przeszkodę, zniszczą każdego wroga, sięgającego po ziemie tego kraju, którego Orzeł Biały jest godłem. A później, gdy wymagają tego warunki strategiczne, walczy dla Polski i o Polskę lekka kawalerja. Ułani, szwoleżerowie i strzelcy konni. A z jazdą murem w obronie Ojczyzny staje piechota, a za nią działa armatnie, które po raz pierwszy odniosły chrzest bojowy pod wodzą Jana Sobieskiego w odsieczy wiedeńskiej.

Gdy nadeszły ponure dni niewoli, żołnierz polski bił się w szeregach państw zaprzyjaźnionych, wierząc, że zwycięstwa jego oręża przyczynią się do rozsławienia istnienia Polski po całym świecie i wcześniej czy później staną się jednem z ogniw wielkich czynów o odrodzenie państwa polskiego walczących.

Nie pomogły jednak triumfy wojska polskiego, nie pomogły walki powstańcze. Wojsko nasze przestało istnieć, bo przestało istnieć państwo. Ale znalazł się człowiek, który od dzieciństwa roił sny o żołnierzu polskim i o nowych walkach orężnych polskiego wojska. Sny i marzenia przekuwał w stal czynu. I nadszedł dzień 5-go sierpnia 1914 roku, gdy w murach Krakowa jako komendant do garstki wiernych sobie strzelców i drużyniaków mógł rzucić pamiętny historyczny rozkaz:

— Żołnierze! Spotkał Was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa, przestąpicie granice rosyjskiego zaboru jako czołowa kolumna Wojska Polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie Ojczyzny...

Wielki czyn polskiego Wodza, Komendanta Józefa Piłsudskiego wskrzesił wojsko polskie. Odrodziły się legjony. Powstały formacje jazdy, piechoty, artylerji, kolumny czołgów, eskadry samolotów, marynarka. Pod wodzą kochanego Naczelnika wojsko polskie odnosi znowu wspaniałe triumfy, broniąc wywalczonej krwią własną Ojczyzny. A gdy nadeszły dni spokoju, formacje wojska polskiego rozwijają się, rozbudowują, pomne historycznych słów swego Wodza:

— Armja podczas wojny robi tylko to, czego ją nauczono w czasie pokoju. Musimy nauczyć się różnych rzeczy dotyczących walki, aby móc je wykonać wówczas, kiedy nastąpi czas walki orężnej.

Żołnierz polski, który dał — jak powiedział Komendant — swej Ojczyźnie nową wartość, której bez niego nie posiadała, — jest znowu najświetniejszym żołnierzem na świecie.

Stan. Witold Balicki.



Drugi pułk Ułanów Grochowskich im. Józefa Dwernickiego z pocztem sztandarowym w historycznych mundurach z 1831 r. podczas rewji w Suwałkach w r. 1932.

Somosierra 1808-1915 Rokitna

Przez ciąg wieków, gdzie tylko szły stopy historji,
oręż polski zdobywał nieśmiertelne laury —
czy to hufce Chrobrego. czy Płowce, czy w glorji
wielki Grunwald, czy triumf pod Wiedniem husarji.

Czy potem poprzez całą Europę. przez morza,
gdzie kroczył Napoleon — czy ofiarą zbrojne
Powstanie Listopada — czy wreszcie ten pożar,
który stworzył Legjony i zwycięstwo w wojnie.

Tyle nazw bohaterskich — a potem nad Wisłą
zwycięstwo — nie cud, ale siła narodowa!
Wojsko polskie triumfem nad wieki wybłysło
i triumf ten na zawsze w swych mieczach zachowa!

WIT.



Poczet sztandarowy 17 Pułku Ułanów podczas defilady przed Panem Prezydentem Rzeczypospolitej.

OD KRZEMIENIA DO HOLLANDA.

Wiszą tuż obok koło siebie na ścianie. jakoby dwie siostrzyce, jednemu celowi poświęcone, dwie w rysunku tak do siebie podobne, a jakżeż różne.

Skałkowa flinta, w grawerunki i inkrustacje zdobna, z którą pradziad sam do boru na niedźwiedzia chadzał i skromna bez zdobień kością słoniową i srebrem wielostrzałowa broń prawnuka, ...na płochliwe zające...

Cała historja ludzkości, cały wielowiekowy okres walki człowieka z jego ziemskiem otoczeniem i jakaż dysproporcja ogromna!

Tamto.. skałka krzemieniowa, wśrubowana w „pyszczek" kurek, który, padając na panewkę, krzesał iskrę, zapalając proch, ta druga, wspaniała i precyzyjna broń mechaniczna, miotająca lufą naboje.

Trzeba było wielkiej odwagi myśliwego, gdy zimą w dzień wilgotnej ponowy, z skałkówką, bardzo piękną jak i zawodną, zbliżał się do misiowego barłogu, nigdy nie wiedząc, czy proch się nie osypał z panewki, czy „skałka" da ognia i czy, nim lana w spichlerzu kula misiowej piersi dosięgnie, zbudzony z drzemki miś nie sięgnie po skórę myśliwego.

A dziś...? Dziś dzieje się inaczej. Broń palna nie zawodzi. Masa piorunująca, zamknięta w mosiężnym kapiszonie naboju, wypali zawsze, a o ileby i nawet nie wypaliła, jako żywo nie zajdzie ewentualność, by rozgniewany z przerwanego snu zając z pazurami rzucił się na myśliwego.

Inna broń... inne czasy.

Skałkowa broń jednak nie stanowi dziś jeszcze tak bardzo archaicznego zabytku, jakby się to zdawać mogło.

Nie pochylił się tak bardzo, mchem porosły krzyżyk, nad wiejską mogiłką, gajowego Staśki, który, będąc zawołanym konserwatystą, małego dzieciaka ze dworu uczył pierwszych kroków na tropach łowieckich, a który, odnosząc się z pogardą do genjalnego wynalazku Stefensona (kolei żelaznych) innej broni, prócz właśnie skałkówki, nie używał.

Cóż to była za wspaniała armata!

Czeluście lufy chłonęły pół funta prochu, drugie tyle pakułów lnianych i siekańców... a jak wypaliła, to i z starej gajówki oryginalą sypały się szare gonty.

— Garścią w nią sypiesz — to i garścią zbierasz! — powiadał stary Staśko, który złowrogą kolubrynę oddziedziczył po swoim dziadzie, który z Napoleonem jeszcze pod Lipsk chadzał.

Wisiała zawsze nad jego łóżkiem, solidnie powiązana sznurkami, a tylko dziecięcej naiwności i nieświadomości skutków używania podobnej broni zawdzięczać należy, że wtedy zaryzykowałem go prosić:

— Mój Staśko, złociutki, kochany, daj mi raz, jedyny, jedniusieńki, wystrzelić...

— Hola... już mu się zachciewa... niedawno cię niańka w wózku woziła...

— Ale teraz już mogę, mój Staśko.

Stary coś mruczał i zrzędził, ale już kolubrynę ze ściany zdejmował, z pod poduszki dobywał: butlę z prochem, pakuły i brał garść siekańców.

Zaczynał się ceremonjał nabijania, przybijania stemplem, a następnie długa nauka.

— Trzymaj mocno... O widzisz te wrony na sośnie?

— Widzę!

— Trzymaj muchę na „języczku" i ciągaj.

I pociągnąłem. Po dziś dzień pamiętam tę fontannę ognia i dymu i te drzazgi, które posypały się z sosny i te wrony, które... odleciały żywe... I to także, że potem długo, bardzo długo przykładano mi w domu jakieś „odciągające" okłady na ramię i szczękę, które bardzo opuchnięte były.

Trudnoby nam dziś było, myśliwym współczesnym, wyobrazić sobie dawniejsze łowy.

Wiemy ze znalezisk przedhistorycznych, jak to człowiek polował na łosia i jaskiniowego niedźwiedzia, doły nań kopiąc, a potem w kamienny topór uzbrojony, całą gromadą napadał na osłabione z głodu w matni zwierzęta.

A długo, długo potem, po przejściu epoki bronzu i łucznictwa, z chwilą odkrycia prochu, do łowów wyłącznie dzidy i rohatyny, łuku i sokoła używał, broń ognistą jako niemiecką w czasie zapasów ze zwierzem w kniei w lamusach zostawiając.

Znając dobrze obyczaje zwierząt łownych, ich nieprawdopodobnie wrażliwe zmysły słuchu, węchu, wzroku, wyda nam się nieprawdopodobieństwem polowanie z bronią palną t. z. lontową.

Nie różniła się ona zasadniczą budową od skałkówki z tą tylko różnicą, że rusznikarze, nie znający jeszcze tajemnicy fabrykowania sprężyn, eksplodowanie naboju wywoływali zapomocą zapalania zwykłym krzesiwkiem wystającem z otworu w nasadzie lufy, nasiarkowanego sznura.

Trzeba było uprzednio broń taką na widełkach podeprzeć, wycelować dokładnie, sięgnąć do kieszeni po krzesiwo i zapalić. — Przez chwilę tlił się siarkowy sznur, a potem z lufy buchał wulkan.

Wielkie przeto obławy na królewskich i książęcych dworach, urządzane z dekoracyjnym przepychem i bogactwem, były raczej bezgłośne w czasie swych miotów, zwierzynę rażono oszczepem, łukiem i kuszą, a strzelano jedynie... po skończeniu łowów na wiwat! Wielki venator w książęcej mitrze książę Rybeńko Radziwiłł, mimo posiadanego, wspaniałego arsenału broni palnej łowieckiej, za dyshonorby sobie uważał, pójście do kniei na odyńca z „piorunówką", oszczepu nań jedynie używając.

Tradycja wielkiego Rybeńka po dziś dzień w Radziwiłłowskim domu pozostała, a obecny ordynat Dawidgródzki ks. Karol, po dziś dzień oszczepik na dzika w zamku przechowuje.

Zasadniczym przewrotem w rusznikarstwie myśliwskim była chwila wynalezienia kapiszonu z masy piorunującej i broni t. z. ognia centralnego.

Skałkówki, lontówki, oszczepy i kusze spoczęły na zawsze w muzealnym śnie.

Dziwirowa kapiszonówka okazała się bronią niezawodną po dziś dzień mimo niewygody w użyciu, pozostała w opinji myśliwych bronią w strzale pewną.

Europejskie fabryki broni myśliwskiej poszły wtedy na wielki wyścig w udoskonalaniu fabrykacji kapiszonówek. Tulskie Cesarskie Zakłady Broni, Nowotny w Pradze, Purdey i Holland, Lepage i Fabrique National, zaczęły produkować masową broń kapiszonową, z której Tulskie i Nowotnego dubeltówki zyskały sławę niezapomnianą.

Technika jednak nabijania kapiszonówki okazała się wciąż jeszcze bardzo niedogodną.

Zaradza temu inżynier Lefaucher, konstruując broń, nabijaną od tyłu, eksplodującą za pomocą uderzania w iglice naboju, wystające nazewnątrz.

To daje bodźca do nowych ulepszeń i wreszcie tuż przed wojną francusko-pruską powstaje wynalazek t. zw. ognia centralnego i broni myśliwskiej tej konstrukcji, jakiej po dziś dzień używamy... Coraz dokładniejsza broń i coraz to mniej zwierzyny.

W Belgji zabicie skowronka zaliczone zostaje do wielkich trofeów myśliwskich, we Francji tylko Prezydent może polować na jelenia w czasie łowów reprezentacyjnych.

Co drugi Francuz ma pięciostrzałowy brauning, co drugi Belg wspaniałą kolekcję broni kulowej.

Tylko jeszcze u nas w Polsce po cichych dworach kresowych zachowały się poczciwe „pistonówki", a w kniei niedźwiedź i łoś.

I da Bóg, że zostaną do chwili, aż ktoś tam może wymyśli polowanie na grubego zwierza bronią iperytową.

* * *

Po sromotnym pudle do głuszca, na pierwszym wiosennym toku, powracałem chmurny do „kurenia" ze smętnie zawieszoną Sauerówką przez plecy.

W leśnym namiocie „kurenia" rozpalając przygasłe ognisko, był już gajowy Hawryłko.

Zabił swego głuszca na bagnisku w brzozowym lesie, przytaszczył wielkiego ptaka do obozowiska, a teraz grzał kawę w garnuszku, oczekując mego powrotu.

Popatrzył ku mnie i zmrużył swe jasne oczy w uśmiechu leśnego stworu.

— Nie poszańcowało... a?

— A nie, pudło!

— Tak ja i tobie mówił panok... Strzelba twoja dobra... ale na zabawki... Hłuszec silnyj, jemu treba kości połamać, a nie to, choby on od szumu (huku) ze strachu padoch.

Oparta o drzewo stała stara kapiszonówka gajowego.

Zwycięzczyni dzisiejszego poranka.

— Kto wie... może ty masz rację, Hawryłko.

Ale nie zawsze wszystko tylko od broni zależy.

Czasami też i od myśliwego.

Feliks Dangel.



Bronią człowieka w średniowieczu była tarcza i halabarda...



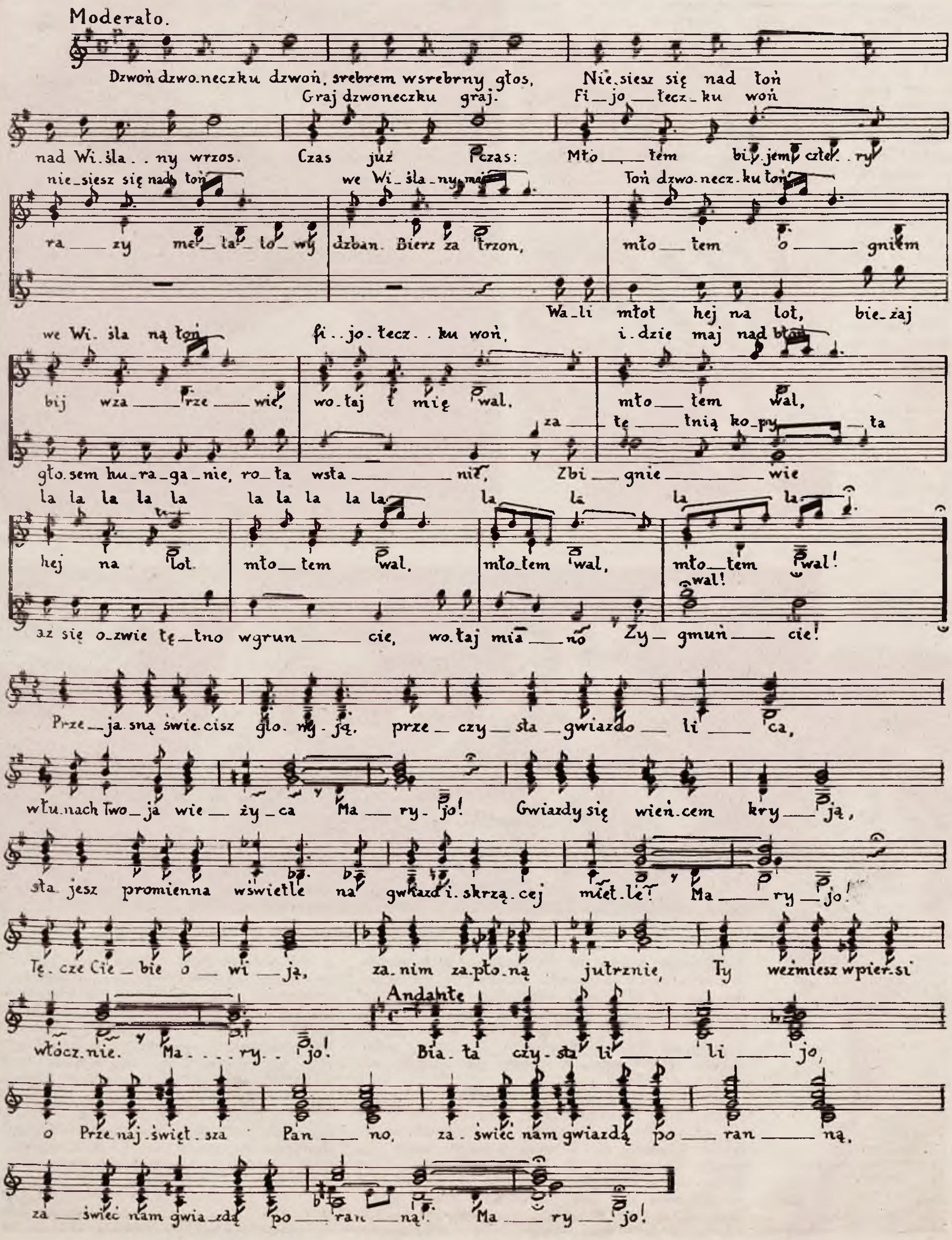
Nabijanie flinty skałkowej szło nadzwyczaj powoli...



„ZEGARY WIEŻ
NA KRAKOWSKICH KOŚCIOŁACH O ŚWICIE".

**WYJĄTEK Z „AKROPOLIS" ST. WYSPIAŃSKIEGO
NA CHÓR ŻEŃSKI.**

MUZYKA: BOLESŁAWA WALLEK-WALEWSKIEGO





Bolesław Wallek-Walewski.

WYWIAD z GIOCONDĄ

— Którą z tych pań uważa Pan za idealną urodę? — zapytał się mnie kiedyś mój znajomy, malarz znany w Polsce i zagranicą, gdy spotkaliśmy się na pewnym balu, w którym uczestniczyły najpiękniejsze kobiety stolicy. Proste to pytanie zapędziło mnie, jak to mówią, w kozi róg, wobec czego stanąłem sobie w rogu sali balowej, aby zastanowić się nad niem i obserwować przewijające się w tańcu panie.

Idealna uroda! Boże, co za wielkie słowo! Bo przecież już dziadowie nasi, chociaż nie słyszeli jeszcze o profesorze Einsteinie, mówili: nie to jest piękne co... I mieli słuszność. Ile par oczu patrzy się na kobietę, tyle będzie zdań, i tak ze wszystkiem. Ale jednak każdy wiek tworzy sobie pewien ideał abstrakcyjny, który dopiero później się ucieleśnia. Zależy on od warunków bytu w tej epoce, od szerokości geograficznej, od poglądów, wymagań itd.

Gdy nieraz błądziłem po galerjach obrazów w Polsce lub zagranicą, gdy stawałem w zadumie przed takim czy innym portretem kobiety, uderzało mnie zawsze to, że każdy z tych portretów uważano i podawano nietylko w Baedeckerze, ale też w historji sztuki jako ideał piękności, jako piękno abstrakcyjne, skondensowane, czyste, bez reszty, prawdziwe i... jedyne. Jakto, byłożby aż tyle „jedynaczek"? A przecież jedynaczka znaczy tyle, co jedna, nie mająca ani siostry ani brata...



Słynna aktorka filmowa Joan Crawford, uchodząca za ideał piękności Nowego Świata.



Portret Monny Lisy Gherardini, trzeciej żony Francesco del Giocondo, pendzla Leonarda da Vinci.

Poniżej: Pani Recamier, ucieleśniająca ideał piękności czasów napoleońskich.



„Miłość świecka i niebiańska" Tycjana, z typami renesansowych kobiet.



Powoli dopiero zacząłem rozróżniać te panie między sobą i każdą z nich umieszczałem w innej przegródce. I doszedłem do dziwnych rezultatów. Okazało się bowiem i każdy zdaje się zgodzi się ze mną, że Wenus Milońska, nawet gdyby miała ręce, coby znacznie przyczyniło się do zbliżenia do niej, nie byłaby dzisiaj otrzymała na żadnym konkursie nagrody piękności. Nie możnaby z niej zrobić nawet... Miss Grecji, a cóż dopiero Miss Europy! Jest zbyt... antyczna, wyraz jej twarzy zbyt... marmurowy, a choć zbudowana jest... posągowo, to jednak ciało jej nie pozwala przeczuwać w niej ani sportsmenki ani też kobiety współczesnej. A z temi greczynkami jest jeszcze stosunkowo najlepiej, gdyż przecież, jak wiemy i tam warunkiem urody było wysportowanie, dzielność osobista, energja, rzutkość i rzucanie dyskiem i t. p. cechy współczesne. Co druga Wenus z Milos, Delos, Mitilene czy Chios była małą Konopacką. Dlatego też nie dochował się żaden talerz z tych czasów... A cóż dopiero mówić o późniejszych kobietach? O średniowieczu, w którem portrety kobiet ukazują nam np. na obrazach Fra Filippo Lippi, Piero della Francesca, czy też Botticellego, jakieś nieco pergaminowe, pozbawione wyrazu żywotno-

PIĘKNOŚĆ XVIII WIEKU

Studjum portretowe pendzla Jana Baptysty Greuze'a (1725—1805) →



ści i zrezygnowane twarze. Twarde życie średniowiecza, pełne ponurości, lub wzniosłej powagi, regulowane abstrakcyjnemi teorjami, lub też twardą realnością, odbiło się na twarzach ludzi współczesnych. Im bardziej była ona kamienna, im silniej przypominała wykute w marmurze postacie, tembardziej zbliżała się do ideału. A zresztą człowiek ówczesny wyobrażał niejako miasto otoczone murami, poza które nie zdołał spojrzeć. Dlatego też twarze te są mało ruchliwe, jakby przygasłe, zamknięte w sobie.

Jeżeli kobiety ówczesne były takie, jakie je malowano, były pięknemi obrazkami, a nie żywemi istotami. Były przecież bardzo ograniczone w swej działalności, obracając się jedynie w domu, koło męża i dzieci. Żywszy znacznie jest oczywiście renesans, który wyrobił sobie bardziej ziemski, zrozumiały ideał z krwi i kości.

Od XV do XVII wieku dominują w obrazach ówczesnych kobiety o wybitnej indywidualności, a u Rubensa i innych malarzy są one może nawet przesadnie żywe. Jakaż pełna wyrazu jest kobieta w obrazie Tycjana zwanym „Ziemska i niebiańska miłość“ albo kobiety genjalnego Rembrandta! Jeszcze bardziej ciekawymi są obrazy, przedstawiające Judytę z uciętą głową Holofernesa, co wygląda jak symbol przewagi mądrej kobiety nad mężczyzną. I faktycznie ideał kobiety renesansowej odbiegł daleko od kobiety gotyku: nietylko na płótnie, ale też w życiu było wiele wyemancypowanych, dzielnych i mądrych kobiet, jak Katarzyna Cornaro, królowa Cypru, liczne księżne z domów panujących na Ferrarze, Urbino, Este. One wszystkie przedstawiają pulsujące życie, rozliczne apetyty, które nie tak łatwo zaspokoić, dążenie do poznania wszystkiego, co ono niesie. Ideał piękności kobiecej stał się szablonowy w XVIII wieku, kiedy nieraz szminka, puder i róż zastępowały rysy twarzy. Stały się one wtedy jak cukierkowate, sztuczne choć piękne maski, pod któremi nie wiadomo co się kryło. Gdy patrzę na portret mej prababki, pani starościny dobrzyńskiej w peruce, o obficie przypudrowanej twarzyczce, zdaje mi się, że patrzę na inne kobiety XVIII w., tak są one do siebie podobne. Ideał piękna polegał wtedy może mniej na treści ile na formach. Zmienił się ten stan rzeczy później, gdy kobieta zrzuciła ze siebie krenolinę, przywdziawszy tunikę grecką, za czasów cesarstwa.

Jest to pierwsza emancypacja kobiety, pierwsze zrzucenie ze siebie socjalnych pętów, co nietylko uwidacznia się w modzie, ale też samej twarzy, która nabiera coraz bardziej pewnych siebie rysów. Lecz znów za pewien czas przychodzi odwet. Po zlikwidowaniu epopei napoleońskiej znów twarz kobieca zaczyna odwierciedlać ciche, spokojne życie domowe i wtedy największą jej zaletą jest stonowanie niejako jej rysów, usunięcie wszystkiego, coby wskazywało na szerszą jej indywidualną działalność. Ideałem Biedermayeru staje się główka kobieca, przypominająca nieco niemiecką ‚Gretchen“ lub polską „Marysię“.

A dziś? Patrzymy się na tysiączne gwiazdy ekranu, które szumne reklamy zachwalają jako ideały piękności, mówimy o „boskiej“ Grecie, o „nieporównanej“ Marlenie, o „cudnej“ Dolores. Kino i fotografja wogóle wywarło na wyrobienie się ideału współczesnej kobiety decydujący wpływ. Malarstwo odegrało tu mniejszą rolę, co ma tę słabą stronę, że dając ciekawe dokumenty danej chwili, kino nie pozwala wyrobić się ideałowi w sensie abstrakcyjnym. Ale ludzie XX wieku nie lubią abstrakcyj, wszystko musi być dotykalne, realne.







Marlena Dietrich, współczesny ideał kobiecej urody.

Za oknami muzeum słychać daleki gwar olbrzymiej stolicy. — W sali prowadzę niemą, ale jakże pełną zapytań rozmowę z tajemniczo uśmiechniętą, cudną z swym wyrazem twarzy, zagadkową, kryjącą jakąś tajemnicę w sercu: z Giocondą.

— Uwielbiamy dziś kobietę dzielną, równą mężczyźnie, nie mającą słabych stron swej płci, strzelającą z łuku, prowadzącą auto, grającą w tennisa, piszącą na maszynie, sądzącą w todze, leczącą w białym kitlu. Kamienne kobiety gotyku, pulchne kurtyzany i „bas bleus“ renesansu, wyróżowane, krynolinowe damy Wersalu należą do przeszłości. I ty, cudna Giocondo żyjesz w sercu malarzy i... historyków. Ale wy kobiety jesteście wieczne, odradzacie się ciągle, zmieniacie się jak kameleon. Jakiż będzie ideał wasz, wyśniony przez mężczyzn i artystów i poetów, a może zasugerowany przez Was, za lat pięćdziesiąt? Czy wrócicie do małego kółka, z którego ście wyszły, czy zdobywać będziecie dalej przywileje? Chłopczyca? Towarzyszka z napół męską twarzyczką, przedziałkiem, w okularach rogowych, czy też mdlejąca Delfina czy Olimpja, lub też zalotna pani w peruce, z muszką, z wachlarzem? Wszystko już było, tak czy inaczej, więc co będzie? Do jakiego ideału każecie się nam modlić?

Zdawało mi się, że piękna małżonka pana del Giocondo uśmiechnęła się do mnie z filuternym wyrazem. Ale wnet przypomniałem sobie, że przecież to jest ów „uśmiech Giocondy“, który w pojęciu niektórych uchodzi za synonim kobiecości. Synonim o tyle, że psychologja kobiety przypomina starożytny labirynt, w którym trudno się rozeznać.

— Czy pójdziecie drogą dalszej emancypancji, będziecie coraz lepiej podbijać piłkę tenisową i serca mężczyzn, czy też zaczniecie nosić staroświeckie „koki“ naszych prababek, doglądając kuchni, dzieci i męża?

Gioconda uśmiechała się w dalszym ciągu. Ale jak to bywa w takich razach, nie dała odpowiedzi...

Jan Maleszewski.

U góry na lewo: Królowa Marja francuska, córka Stanisława I. Leszczyńskiego, pendzla Nattiera. — Obok na lewo: Cesarzowa Eugenja, idealna piękność Drugiego Cesarstwa, obraz Winterhaltera. — U dołu na prawo: Greta Garbo, subtelny typ kobiecej urody XX wieku.



KSIĄŻĘ z „trente-et-quarante"

Powieść Williama J. Makina. 12 Tłumaczenie autoryzowane Jana Maleszewskiego

ILUSTROWAŁ J. M. BRZESKI

— A, to pan ambasador? Dzień dobry Waszej Ekscelencji. Muszę się wytłumaczyć z niepokojenia pana, lecz chciałem zapytać, czy pan przypadkiem nie słyszał coś o Helenie Mann. Nie? Czy pan jest tego zupełnie pewien? Czy nie znajduje się ona przypadkiem w tej chwili w ambasadzie? Nie wiem. Nie, Wasza Ekscelencjo. Powód, dla którego się pytam o tę panią jest, że doniesiono nam, iż zginęła, a ktoś widział, jak wchodziła do ambasady Korawji. Tak, wiem to brzmi nieco dziwnie. Osoba, która widziała wchodzącą ją? — Evans rzucił porozumiewawcze spojrzenie na Cheshama. — był nią książę Sergjusz Łobanow, Wasza Ekscelencjo.

W następnych kilku minutach inspektor Evans przysłuchiwał się wywodom ambasadora o szkodliwości wygnanych książąt. Wkońcu Evans podziękował ambasadorowi za informacje i odłożył słuchawkę.

— Oni zasadniczo zaprzeczają tej fantastycznej historji — rzekł do swego gościa. Ambasador był na tyle uprzejmy, że zrezygnował z pewnego przywileju dyplomatycznego i oświadczył, że gdybym chciał kazać przeszukać ambasadę za zaginioną dziewczyną, użyczy mi wszelkiej pomocy.

— A pan przyjął? — spytał Chesham trwożliwie.

— Oczywiście, że nie. Specjalny Oddział Scotland Yardu nie zwykł robić ze siebie warjata. Przypuszczam, że mogła Wasza Wysokość przyjść do Scotland Yardu ze sprawą bardziej odpowiednią, niż wymaganie pomocy londyńskiej policji w jego czynnościach przewrotowych.

Chesham wstał.

— Pan jest szalony, panie Evans — krzyknął — ale przyznam się, że chce przewrotu. Ale nie w Korawji.

— W takim razie gdzie? — zapytał z niewinną miną Evans.

— W Scotland Yardzie — rzucił Chesham i wybiegł z pokoju.

Evans ze złością ujął za słuchawkę telefoniczną.

— Proszę pilnować księcia Sergjusza. Schodzi właśnie ze schodów. I proszę mi zebrać wszelkie informacje o Helenie Mann, 70a Piccadilly. Proszę sprawdzić. Wiecie już? Dobrze. Lecz również o ojcu jej, Marku Mann, proszę zebrać informacje. Twierdzi, że jest finansistą.

Evans odłożył słuchawkę.

— Dochodzę do przekonania — rzekł sam do siebie — że wiem tylko połowę tego, coby należało wiedzieć o tym tajemniczym człowieku.

W pół godziny później Chesham z rozpaczą, malującą się na twarzy, opowiadał Szefowi o bezcelowości swej wizyty w Scotland Yardzie.

— Dobrze, młody człowieku. Wiemy, gdzie jesteśmy. Ale mam inny plan.

— Plan, co do którego jestem zdecydowany — odrzekł młody Anglik — jest udać się wieczorem do ambasady jako książę Sergjusz Łobanow.

ROZDZIAŁ XVII.

Nieoczekiwana żona ukazuje się na horyzoncie.

Gdy Chesham wychodził z pokoju Szefa, Juljan skłonił się przed nim, mówiąc:

— Przepraszam pana, Sir, przybyła pańska żona?

— Kto przyszedł? — spytał zdziwiony Chesham.

— Żona pańska, sir. — Twierdziła, że musi pana zobaczyć. Czeka w salonie na pana.

Chesham zawahał się. Była to kobieta, o której inspektor Ewans ze Scotland Yardu mówił mu. Widocznie odnalazła jego adres. Zastanawiał się, czy wrócić zpowrotem do Marka Manna, by poinformować go o tem zajściu. Ale przecież Szef zawsze był zdania, że Chesham powinien ją poznać i uspokoić.

— Jak... jak ona wygląda? — spytał się służącego.

Było to badzo dziwne pytanie jak na męża, ale Juljan jako służący dobrze wyćwiczony, nie okazał najmniejszego zdziwienia.

— Wygląda raczej dobrze. Powiedziałbym kwitnąco, Sir.

— Zejdę i zobaczę się z nią — zdecydował się Chesham.

— Jak pan sobie życzy, Sir.

Księcia Korawji poprzedził Juljan. Idąc młody człowiek miał wrażenie człowieka, który ma się poddać badaniu lekarskiemu i spodziewa się, że usłyszy wyrok śmierci. Juljan prędkim ruchem otworzył drzwi do salonu, a twarz jego zdradzała współczucie. Gdy Chesham się znalazł w salonie, zamknął szybko drzwi z wprawą dozorcy więziennego.

— Jak się masz, drogi?

Głos dał się słyszeć z okolicy okna, koło którego na kanapce siedziała młoda kobieta. Rzuciwszy okiem na nią, stwierdził, że Juljan nie zupełnie słusznie ją określił. Kwitnącą! Raczej jak przekwitła i obfita w kształtach czerwona róża. Czerwona jej suknia była nieco zmięta, a włosy jej blond przypominały piwo.

— Wszędzie ciebie szukałam, najdroższy.

Dwoje rąk czerwonych objęło go za szyję. Pomimo udawanego spokoju łono jej falowało. Przypominała ona żywcem jedną z postaci uwiecznionych na płótnie przez Rubensa, któraby naraz ożyła w dzisiejszych czasach.

— Bardzo panią przepraszam — zaczął Chesham dosyć chłodno. Zachodzi tu zapewne jakieś nieporozumienie.

— O zapomnij o tem, malutki — mówiła ta dziwna postać. Nie mów, że za pomniałeś, iż twoją małą Fibi zdobyłeś w barze przy koniaku.

— Owszem, piłem koniak i whisky — rzekł mężnie Chesham, ale nie znała złem żadnej Fibi.

Odrzuciła głowę nerwowym ruchem i zaśmiała się tak jak się śmieją dziewczęta z baru, szczerze i prosto.

— Udało ci się mały — Chesham wzdrygnął się, słysząc znowu ten sposób mówienia. — Może powiesz jeszcze, że nie przypominasz sobie naszego ślubu na Henrietta-Street trzy lata temu?

— Nie przypominam sobie — rzekł Chesham poważnie.

— Albo naszych miodowych miesięcy spędzonych w Southend?

— W Southend? — pytał Chesman z powątpiewaniem.

— Oczywiście, dlaczegożby nie — odparła nieco podejrzliwie. Kochałam ten kąt i ty również aż do chwili, kiedy zachorowałeś spowodu jedzenia!

— Wiele rzeczy warjackich i nieprawdopodobnych zrobiłem w mojem życiu — głos Cheshama brzmiał prawie ponuro. — Ale nigdy nie zatrułem się jedzeniem.

— Ani nie wynająłeś domu w Clapham pod numerem 50-tym na Cherry Walk? Jeżeli dobrze się zastanowisz, to przypomnisz sobie, że mieszkaliśmy

tam przez kilka tygodni, zanim nie zniknąłeś bez słowa pożegnania.

— Ależ zapewniam panią, że to jest wszystko przykrą omyłką — upierał się Chesham.

Uśmiechnęła się, a różowe jej policzki ułożyły się w dołeczki.

— Kochanie, co to za dziwna gra? Wiesz, że możesz mi wierzyć. Miałam ogromne trudności, aby ciebie znaleźć. Myślałam już, że pojechałeś do Korawji.

— Kto pani powiedział, że ja tu mieszkam? — zapytał.

— Nikt — odrzekła. Idąc do Scotland Yardu, aby dostać jakieś informacje, widziałam jak stamtąd wychodzisz. Poszłam za tobą. Gdy tu wszedłeś, zrobiłam oko do służącego przy drzwiach i prosiłam go, aby ci zakomunikował, że Fibi ciebie prosi.

— Ale musi pani wkońcu uwierzyć, że nie jestem jej mężem — rzekł Chesham zdesperowanym tonem.

Chesham był pewien, że nie posiada z prawdziwym księciem Sergjuszem żadnych cech podobieństwa. Było wręcz niezrozumiałem, że kobieta ta chciała go rozpoznać, podczas gdy prawdziwy książę Sergjusz znajdował się nierozpoznany w jakiejś policyjnej trupiarni. Czy miał jej to powiedzieć? Gdyby to uczynił cała przygoda wyszłaby odrazu na jaw, a jakież stanowisko zajęłaby wtedy Helena, ona, która obecnie znajdowała się w okropnem niebezpieczeństwie i którą postanowił ratować? Podczas, gdy myśli te kotłowały się w jego głowie, kobieta w czerwonej sukni uśmiechnęła się do niego z zadowoleniem.

— Nie mylę się — rzekła spokojnie. Jesteś moim mężem, posiadam dokument ślubu — zaczęła otwierać swoją torebkę — a twoje nazwisko stoi tam napisane czarno na białem. Mam nadzieję, że nie będziesz teraz przeczył, że jesteś księciem Korawji, Sergjuszem Łobanowem.

Wyciągnąwszy papier z torebki, potrząsała nim przed Cheshamem. Chwycił go w pewnej chwili i zaczął czytać. Był to wyciąg z rejestru stanu cywilnego z przed trzech lat, obwieszczający że tegoż dnia Fibi Trott, z zawodu dziewczyna w barze, zaślubiła Sergjusza Karola Łukasza Aleksandra Łobanowa, studenta uniwersytetu, żyjącego z własnych funduszów. Po przeczytaniu dokumentu zdał sobie sprawę, dlaczego kobieta ta upierała się przy swojem twierdzeniu. Był to oczywiście szantaż, gdyż musiała wiedzieć, że mąż jej już nie żył i dowiedzieć się, że on, Chesham, grał rolę księcia. To też Chesham przypuszczał, że sprytna kobieta zamierza skorzystać ze sytuacji.

Spojrzał na nią badawczo.

— Rozpoczęła pani bardzo niebezpieczną grę, Fibi — rzekł.

Uśmiechnęła się lekceważąco.

— Nie prowadzę żadnej gry, mój drogi — odparła zatrącając podmiejskim akcentem. — Jestem porządną żoną, która powołana jest zabrać do domu swego męża i przypuszczam, że wrócisz tam, najdroższy. Widziałam właśnie wspaniałą wystawę czerwonych geranji na Cherry Walk. A ty zawsze bardzo lubiłeś czerwony kolor, nieprawdaż? Dlatego też włożyłam moją czerwoną organdinową suknię. Miałam już jakieś przeczucie, że cię spotkam.

Chesham wzruszył ramionami zrozpaczony. Ta zażywną osóbka, ubrana w czerwoną suknię, była conajmniej rozbrajająca.

— Co pani właściwie chce? — pytał gwałtownie.

— Właściwie nic, najdroższy — odparła zdziwiona, nic poza tobą. Chciałabym, abyś wrócił do domu. Wiem, że nie możesz się czuć dobrze w tak ogromnym domu, jak ten tutaj, a przytem ten hałas, który z zewnątrz słychać! Poza tem nie wyobrażam sobie, jakbym mogła żyć z kilkoma groszami w kieszeni.

— A więc to jednak jest szantaż! — krzyknął Chesham rozzłoszczony do ostatnich granic.

— Jakto szantaż? Jeżeli proszę męża o kilka szylingów aby zapłacić komorne i kilka wydatków„ to ma być szantaż? — pytała również gwałtownym tonem Fibi.

Pulchną ręką odgarnęła sobie włosy z czoła.

— Przejrzałem już teraz pani taktykę.,Lepiejby pani zrobiła, gdyby pani sobie stąd poszła i nie pokazywała się więcej. Nie jestem pani mężem i nie chcę nim być.

Mówiąc te słowa, Chesham darł w drobne kawałeczki dokument ślubu.

Fibi spojrzała zdziwiona, a potem przyjęła taki wyraz twarzy, jak gdyby miała przed sobą rozzłoszczone dziecko.

— No, trudno. Zawsze będziesz podlegał jakimś dziwactwom. Całe szczęście tylko, że dokument ślubu, który podarłeś był tylko kopją. Oryginał znajduje się na Cherry Walk. — Starła ręką z twarzy resztkę pudru. — Nie zapominaj, najdroższy, że czekam zawsze na ciebie. Zawsze przygotowuje takie świetne kotlety i pierogi na kolację, które przecież dawniej lubiłeś. No, niech ci się dobrze powodzi, zapytam się o ciebie za kilka dni.

Uśmiechając się na pożegnanie, dziwna ta osoba odpłynęła podobna do jakiejś czerwonej łodzi w stronę drzwi.

— Dowidzenia — rzekł po namyśle Chesham.

Wypieki wystąpiły na twarzy młodej kobiety.

— Czy mnie nie pocałujesz na pożegnanie?

— Ach, niech pani sobie już idzie!

Drzwi się zamknęły, a Chesham w najwyższym stopniu rozdrażniony sięgnął po papierosa. Woń dobrego tytoniu uspokoiła go nieco.



— Powodzenia, młody człowieku — szepnął mu Marek Mann...

ROZDZIAŁ XVIII.

Niebezpieczeństwo czyha w ambasadzie.

Przyjęcia w ambasadzie korawjańskiej na Park Lane były zawsze oczekiwane z zainteresowaniem. Jakkolwiek republika Korawji była pod względem rozległości niewielka, a wpływy jej polityczne mało ceniono w Londynie, to jednak ambasada tego państwa cieszyła się sławą urządzenia najbardziej ożywionych i miłych przyjęć West Endu.

Tylko niewiele z tych osób, które bywały w pałacu na Park Lane, mogłyby szczegółowo określić położenie Korawji na mapie Europy. Wszyscy jednak znali dobrze miejsce, w którem w ambasadzie znajdował się bar, a różne gatunki szampana i wielka różnorodność cocktailów były nieraz tematem rozmów ludzi, znających się na dobrych trunkach.

Gdy Chesham zbliżał się do ambasady w wytwornej limuzynie, i stanął przed frontonem pałacu, poczuł na swem ramieniu dotknięcie ręki swego towarzysza.

— Powodzenia, młody człowieku — szepnął mu Marek Mann. — Uczyniłem wszystko, co mogłem dla pana. — Ulokowałem w okolicy kilku ludzi, ale zdaje mi się jednak, że wszystko właściwie będzie zależeć od pana. Musimy oczywiście za wszelką cenę wydobyć Helenę z tego domu.

— Za wszelką cenę — potwierdził poważnie Chesham.

— Niech pan weźmie ten rewolwer — mówił dalej Szef, podając młodemu człowiekowi broń.

Chesham zaprzeczył ruchem głowy.

— Na nic się nie przyda. Na to są przygotowani. A ja chcę ich czemś zaskoczyć, czego się nie spodziewają.

— No, to niech pan idzie własną drogą. Ja w każdym razie będę na pana czekał w aucie.

Artur zastanowił się chwilę.

— Jeżeli do północy nie zjawię się z Heleną, może się pan spodziewać najgorszego.

Nie żegnając się z Szefem nawet spojrzeniem, wysiadł z auta, stąpając po czerwonym dywanie, który prowadził z trotuaru do oświetlonego rzęsiście domu.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Czy można usunąć piegi?



Gwiazda wytwórni Metro Goldwyn, Elżbieta Allan, podczas kosmetycznych zabiegów.

O to pytanie, które często się powtarza, gdy tylko ukażą się pierwsze promienie wiosennego słońca. Bo o tem wszyscy wiemy, że powstawanie piegów stoi w związku ze światłem, t. zn. że pod działaniem słońca skóra wytwarza barwik ochronny — pigment. Reakcja ta jest w większym lub mniejszym stopniu zależna od gatunku skóry. Najczęściej spotykamy piegi u osób z cienką, białą skórą o miedzianym odcieniu włosów, rzadziej u brunetów lub blondynów. Jeżeli zatem skóra ma już skłonności do nadmiernego wydzielania pigmentu, to nie może być mowy o jakiemś radykalnem wyleczeniu się z piegów, gdyż wówczas musielibyśmy zniszczyć głęboko położone partje komórek, wytwarzających barwik. I rezultat byłby opłakany. Zamiast piegów twarz nasza byłaby poorana bliznami.

Piegi tworzą się na policzkach, na nosie, czole, ramionach, a nawet na rękach. Również kolor piegów bywa rozmaity, od jasnożółtego do ciemno-bronzowego.

Jak dotychczas usuwaliśmy piegi?

Środkami silnie działającemi, które złuszczały naskórek. Pomijając fakt, że złuszczanie nie prowadzi do celu, gdyż w krótkim czasie twarz pokrywa się świeżemi piegami, środki te, jako zawierające sole rtęciowe, bizmutowe, są dla organizmu bardzo szkodliwe, zwłaszcza przy dłuższem używaniu. Poza tem ciągłe złuszczanie wyniszcza naskórek i twarz prędko pokrywa się siecią drobniutkich zmarszczek.

Niespodziewanie jednak przychodzi nam chemia z pomocą. — Oto bowiem przekonano się, że nieznaczny dodatek siarczanu chininy do kremu, którym się naciera twarz w słoneczny dzień, przed wyjściem z domu, chroni skórę przed piegami, zwłaszcza o ile równocześnie ten krem jest zabarwiony środkami roślinnemi na kolor brunatny.

Taki krem z łatwością można przygotować we własnym zakresie. Uda się napewno. Żeby tylko nie zapóźno zabrać się do gotowania; w każdym razie nim pokażą się pierwsze piegi.

Jeden gram chininy (chininum sulfuricum) rozpuścić w łyżce stołowej wrzącej wody. Osobno, zlekka podgrzewając, stopić 4 g wosku japońskiego (cera japonica), 7,50 g olbrotu (cetaceum), dodać 30 g olejku ze słodkich migdałów, zdjąć z ognia, wymieszać doskonale i zostawić w spokoju, by tłuszcz mógł równo zastygnąć. Następnie przetrzeć masę przez gęste sitko włosienne, dodawać — częściami — poprzednio przygotowany roztwór chininy i dalej ucierać, wlewając stopniowo potrzebną ilość stężonego roztworu brunatu słonecznego (Sonnenbraun Nr. 1734). Wkońcu zaperfumować krem ulubionemi olejkami.

O ile niema podrażnień, bo nie wszystkie skóry znoszą dobrze siarczan chininy, dawkę można zwiększyć nawet do 2 gramów.

Również pomocne mogą być ciemne pudry z dodatkiem wspomnianego siarczanu. Początkowo na większe pudełko pudru, który musi być przynajmniej barwy żółtej, ale lepiej bronzowej (mulatre), dodawać 0,25 g siarczanu chininy, zwiększając stopniowo porcję do pół grama.

Na plaży jednak najmilszą ochroną przed zbytniem operowaniem promieni słonecznych będzie... maseczka z liści.

Z domowych środków rozjaśniających piegi dobrze działają kataplazmy z ciepłego twarogu, rozcieńczony sok cytrynowy, sok ze świeżych poziomek, z ogórków. Również i pewne kolory, t. j. wszystkie odcienie barwy żółtej, czerwonej, mają własność odbijania promieni słonecznych i dlatego wskazanem byłoby faworytować te barwy w swej garderobie. Może nie będzie to zbyt przykre, gdyż w tym roku kolor czerwony jest bardzo „en vogue".

Nie zapominajmy także o parasolkach!

Ale nadewszystko nie martwmy się, jeżeli mimo tych wszystkich ostrożności zobaczymy w czasie upalnego lata w zwierciadle parę ciemniejszych punkcików na naszej twarzy. Tylko bowiem bardzo delikatna skórka może się niemi poszczycić...

Mgr. O. W.

PRZEPISY

odnoszące się do naszego kalendarzyka — obliczone na 3—4 osoby.

TORT SAVARIN (na życzenie Czytelniczki). Wybić ciasto drożdżowe z 15 dkg mąki, 7 dkg masła, 3 jaj, 1 dkg drożdży, około pół szklanki letniego mleka, troszkę cukru oraz soli. Ciasto należycie wyrośnięte, przerobić łyżką powtórnie, nałożyć do formy wieńcowej (okrągłej, płaskiej, z otworem w środku) postawić w cieple na godzinę, potem upiec całkiem jasno (przykryć natłuszczonym papierem). Po upieczeniu wyrzucić na płytkę i polać następującym syropem: pół szklanki wody, 11 dkg cukru, sok i skórkę (którą się po ugotowaniu wyjmuje) z 1 pomarańczy i 1 cytryny, kieliszek malagi i pół kieliszka dobrego rumu zagotować, na gorąco polać ciasto. Pusty środek nakłada się bitą śmietaną lub sałatką z surowych południowych owoców, skropioną likierem maraschine.

OMLETY Z POZOSTAŁYCH BIAŁEK. Trzy czerstwe bułeczki otrzeć z wierzchniej skórki i zamoczyć w pół litrze mleka, gdy rozmiękną przetrzeć je przez sito, dodać 3 żółtka i 3 łyżeczki kawowe mąki, rozkłucić dobrze, wkońcu wmięszać pianę z 6—7 białek. Z masy tej wysmaża się na niedużej patelce omlety, z obu stron osmażane. Z powyższej ilości powinno być 10—12 omletów, które się podaje albo posypane tylko parmezanem, lub też napełniane siekaną szynką, kiełbasą lub farszem mięsnym. Dodatek: zielona sałata w śmietanie. Te same omlety przełożone marmeladą lub polane sokiem, mogą stanowić dobrą a niedrogą legominę.

KREM Z LASKOWYCH ORZECHÓW. 25 dkg orzechów laskowych praży się na ogniu, następnie wysypuje na ściereczkę i ociera z łupki. Wysypane ponownie na patelnię, posypuje się 6 dkg cukru i praży na ogniu, mięszając, na złoty kolor. Utłuczone w moździerzu, zalewa się szklanką słodkiej śmietanki, dodaje 25 dkg cukru, utartego z 6 żółtkami i łyżeczką mąki i ubija na ogniu na gęsty krem. Wkońcu dodaje się kieliszek maraschina, mięsza, napełnia małe filiżaneczki, ustawia je w dużym rondlu z trochą wody, przykryte, wstawia się do gorącej rury, gdzie się krem powinien po 30 minutach ściąć. Gotować się nie śmie, bo się zepsuje. Zastudzony krem ubiera się bitą śmietanką i smażoną wiśnią lub truskawką.

LEGOMINA Z SUSZONYCH JABŁEK. Ogniotrwałą miskę wykłada się ugotowanemi w cukrze jabłkami, na każdy krążek daje się troszkę galaretki porzeczkowej, pokrywa poniżej podanem ciastem, wstawia na pół godziny do pieca i szybko wydaje w naczyniu, w którem się piekło. Ciasto: pół szklanki mleka z łyżką masła zagotować, wsypać 7 dkg mąki i ubijać na ogniu aż od rondla odstaje. Osobno utrzeć 3 żółtka z 6 dkg cukru i 3 dkg masła, dodać do ostudzonego w międzyczasie ciasta wraz z pianą z 3 białek. Masę nałożoną na jabłka posypać grubym cukrem z migdałami i upiec.

STRUDEL Z GRYSIKU. W zwykły sposób wyrabia się ciasto strudlowe z 20 dkg mąki, osolonej letniej wody i grudki masła; odstawia na pół godziny przykryte ciepłym rondelkiem. Nadzianka: 10 dkg masła utrzeć z 4 żółtkami, dodać szklankę kwaśnej śmietany, 10 dkg grysiku pszennego, soli i pianę z 4 białek. Nadziany i zwinięty strudel wkłada się do posmarowanej masłem serwety, zawiązuje, i gotuje 15—20 minut w słonej wodzie. Wydany na półmisek kraje się w plastry i polewa masłem z rumianą bułeczką.

ROŻKI SEROWE. 10 dkg masła, 10 dkg tartego sera, 10 dkg mąki i szczyptę soli, wyrobić na ciasto, pozostawić w chłodzie parę godzin, potem wywałkować, krajać na kwadraty, nadziewać masą orzechową, zwijać w różki, smarować białkiem i upiec. Gorące otarzać w cukrze waniljowym.

MOSTEK CIELĘCY PO WŁOSKU. 20 dkg makaronu włoskiego obgotować w mleku, tak, aby tylko zmiękł. Łyżkę masła, 2 żółtka i 1 jajko, utrzeć, zmięszać z wystygłym makaronem, osolić, dodać dwie łyżki siekanej wędrzonki lub szynki, 2 łyżki tartej bułki, wkońcu pianę z 2 białek. Masą tą nadziewa się 1½—2 kilogramowy mostek cielęcy, zaszywa i piecze na maśle przy częstem polewaniu. Upieczony posypuje się suto bułeczką, polewa sosem z pod pieczeni i piecze jeszcze 10 minut. Przed pokrajaniem musi pieczeń przestygnąć, inaczej źle się będzie krajać, potem wstawia się z półmiskiem do ogrzania.

LEGOMINA Z POMARAŃCZ. Pomarańczę przekroić, ostrożnie wyjąć miąższ, zmięszać z drobno krajanymi bananami, figami (półgotowanemi) i siekanymi orzechami. Cukier i łyżka rumu do smaku. Owoce nakładać do wydrążonych łupek pomarańcz i pokryć bitą śmietaną.

Sc. Ko.

STATKI GOSPODARSKIE



Przygotowując ciasto do pieczenia, przesiewamy najpierw mąkę przez gęste sito, odważamy potrzebną jej ilość, dodajemy jaja, mleko i t. d., a często i skórkę cytrynową, ocieraną na tarle (jak na zdjęciu). Zarabiamy ciasto długim nożem na stolnicy i wałkujemy placuszki i t. p. Czystość naczyń i biały fartuszek lub chałat osoby gotującej, to niezbędne warunki higjeniczne nowoczesnej kuchni.

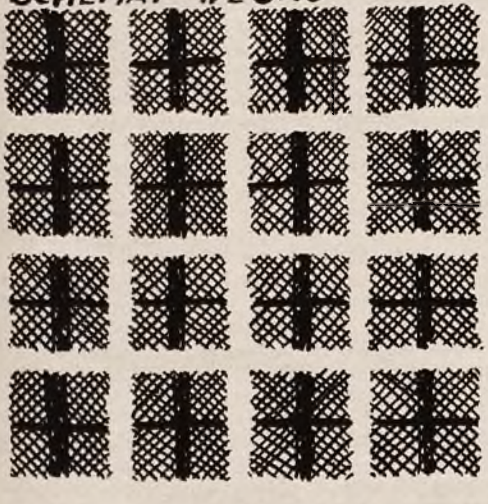
7 ✦ DNI ✦ DOBREJ ✦ GOSPODYNI.

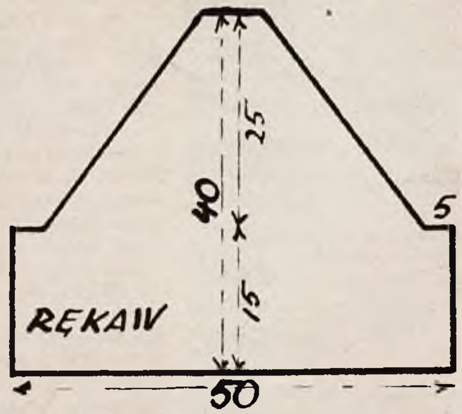
Z dwóch głównych dań obiadu jedno może być w skromniejszych gospodarstwach opuszczone

Święta rzym.-kat. i żyd.	Tydzień 21 — MAJ — Dni 31
Niedziela **19** Iwona, Piotra C. 16 Ijar	Zupa szparagowa lub szparagi z rumianem masłem w miejsce zupy. Kurczęta w śmietanie z kluseczkami. Budyń migdałowy z szodonem. Kolacja: Wędliny z sałatą mieszaną.
Poniedziałek **20** Bernarda 17 Ijar	Rosół z makaronem. Faszerowana kapusta. Rostbeuf po angielsku z smażonemi ziemniaczkami i sałatą zieloną. Legumina z suszonych jabłek z galaretką porzeczkową. Kolacja: Kiełbasa w cieście z szpinakiem.
Wtorek **21** Heleny kr. 18 Ij. Lag Beom.	Zupa koprowa na śmietanie. Strudel z grysiku. Wątróbka po wiedeńsku z sałatą. Rożki serowe. Kolacja: Jaja w sosie pomidorowym z makaronem.
Środa **22** Julji p., Emilji 19 Ijar	Zupa lub barszcz na wędzonce. Knedel bułkowy z sosem śmietanowym. Ozór wołowy z sałatą i ziemniakami. Omlet z konfiturą. Kolacja: Zimny ozór z sosem chrzanowo — jajecznym.
Czwartek **23** Dezyderiusza 20 Ijar	Zupa z młodych jarzynek z płatkami. Cielęcy mostek po włosku z sałatą. Legumina z pomarańcz. Kolacja: Parówki w sosie pomidorowym z ryżem.
Piatek **24** Joanny wd. 21 Ijar	Zamiast zupy kalafior w białym sosie. Strudel ziemniaczany. Karp z pieczarkami. Rulada orzechowa z bitą śmietaną. Kolacja: Kasza krakowska na grzybach — kefir.
Sobota **25** [illegible]hana p. [illegible] Ijar	Zupa szpinakowa z grzankami. Płatki z kapustą. Gołąbki pieczone z ryżem. Legumina z bułek. Kolacja: Sardynki po węgiersku na bułce.

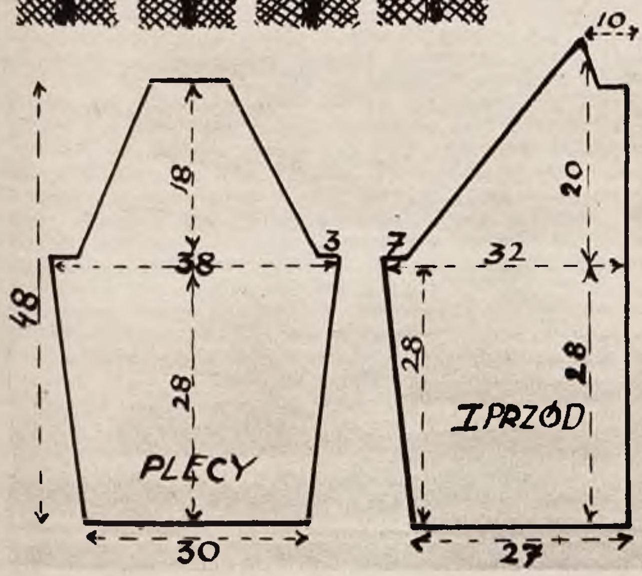
ZROBIĘ TO SAMA

SCHEMAT WZORU.





SCHEMAT KROJU





BLUZECZKA LNIANA W KRATĘ

Wielkość II. (Na 92 cm. obwodu klatki piersiowej).

Materjał: 18 dk włóczki lnianej „Trójkąta w kole“: „Mimoza“ w kolorze szarym, oraz po 3 dk wełny „Elektra“ w kolorze czerwonym i białym. Druty nr. 2.5. Przedewszystkiem wykonujemy z papieru formę wg. podanego szablonu, oznaczonego wymiarami odpowiednimi dla normalnie zbudowanej osoby o obwodzie klatki piersiowej wynoszącym 92 cm. Następnie wg. podanego poniżej ściegu wykonujemy próbkę na 10, lub 20 oczek i obliczamy na jej podstawie na ile oczek należy zacząć poszczególne części bluzki.

Ścieg szkocki w kratę: Przerabiamy najpierw w pasy poprzeczne, pasy pionowe wykonujemy po ukończeniu roboty na drutach. Przerabiamy 10 rzędów po prawej stronie wprost, po lewej nawywrót szarą włóczką, następnie czerwoną wełną 1 rząd po prawej stronie wprost, 1 rząd po prawej stronie nawywrót, 10 rzędów szarą włóczką po prawej stronie wprost, po lewej nawywrót, następnie białą wełną przerabiamy 1 rząd po prawej stronie wprost, 1 po prawej stronie nawywrót i powtarzamy od początku.

Ścieg ryżowy: w pierwszym rzędzie przerabiamy naprzemian 1 oczko wprost, 1 nawywrót. W dalszych rzędach przestawiamy wzór, aby oczka prawe wypadały na lewych a lewe na prawych.

Zaczynamy robotę od pleców, odpowiednią ilość oczek, szarą włóczką i przerabiamy ściegiem w poprzeczne pasy, jak opisano powyżej. Co 5-ty rząd dodajemy po 1 oczku na początku i na końcu rzędu. Na wysokości początku wycięcia na raglanowe rękawy zakończamy po 15 oczek z obu brzegów roboty, i przerabiamy dalej, ujmując po 1 oczku na początku każdego rzędu. Na wysokości szyi zakończamy pozostałe oczka.

Przody zaczynamy tak, jak i plecy od dołu i przerabiamy jak opisano powyżej, dodając z bocznego brzegu, co 5 rzędów, jak w plecach. Na wysokości wycięcia na rękawy zakończamy odpowiednią ilość oczek (wg. kroju) i przerabiamy dalej ujmując z bocznego brzegu na wycięcie raglanowe, jak w plecach. Na początku wycięcia przy szyi zakończamy z przedniego brzegu 20 oczek, poczem aż do ukończenia przodu ujmujemy po 1 oczku na początku i na końcu rzędów na brzegu wycięcia przy szyi. Rękawy zaczynamy również od dołu, odpowiednią ilością szarych oczek i przerabiamy ściegiem w pasy najpierw równo (bez dodawania) potem zakończamy po 20 oczek z obu brzegów roboty i przerabiamy dalej, ujmując po 1 oczku na początku rzędów. Po osiągnięciu należytej wysokości zakończamy pozostałe oczka. Gotowe części haftujemy teraz w pionowe pasy kraty ściegiem trykotowym, albo zwykłym łańcuszkiem. Haftujemy co 10 oczek łla naprzemian po 1 rzędzie czerwonym i białym, przyczem haftując czerwony pionowy pas omijamy stale poprzeczne białe pasy. Patrz schematyczny rysunek wzoru. Po wyhaftowaniu wszystkich części zeszywamy je a mianowicie łączymy boki przodu i pleców, poczem wszywamy raglanowe rękawy pomiędzy przody i plecy. Brzegi wycięcia przy szyi obrabiamy rzędem półsłupków szarą włóczką. Teraz wykonujemy z szarej włóczki, ściegiem ryżowym pasek i obwódki przy rękawach. Zaczynamy każdą obwódkę na 2 oczka i przerabiamy ściegiem ryżowym, dodając po 1 oczku na początku i na końcu każdego rzędu, dopóki paski nie będą odpowiednio szerokie. Szerokość paska na dół sweterka ma wynosić 7 cm., szerokość obwódek na rękawy wynosi po 4 cm. Gdy wszystkie paski mają dostateczną długość zakończamy je, ujmując po 1 oczku na początku i na końcu każdego rzędu. Pasek na dół sweterka przyszywamy, marszcząc nieco sweterek (szczególniej z boków). Paski na rękawy zakończamy w podobny sposób, gdy mają po 28 cm. długości. Przyszywamy je na dole rękawów w ten sposób, aby środek paska wypadał na szwie rękawa. Na wierzchu rękawa pozostanie w ten sposób wolna przestrzeń, którą obrabiamy rzędem szarych półsłupków. Nabieramy teraz na druty wycięcie na szyi i przerabiamy obwódkę szarą włóczką ściegiem ryżowym na wysokość 5 cm., dodając co 6 rzędów po 1 oczku co 10 oczek. Po ukończeniu obwódki zakończamy ją luźno, wymijamy nazewnątrz i przymocowujemy niewidzialnemi ściegami. Obwódkę tę można zastąpić białym, jedwabnym kołnierzykiem. Teraz obrabiamy przedni prawy brzeg sweterka trzema rzędami półsłupków, przyczem w drugim rzędzie wrabiamy 4 pętelki, zastępując na każdą pętelkę po 5 półsłupków oczkami powietrznemi. Jako zapięcie służą czerwono-białe guziki. Nakoniec szydełkujemy z potrójnej czerwonej wełny sznurki łańcuszkowe, a to 2 długości po 20 cm., oraz 6 po 15 cm. Sznurki te przyszywamy do końców obwódek na rękawach, przy wycięciu na szyi oraz (20-to cm) na końcu i poniżej ostatniego guzika na pasku. Sznurki te wiążemy w kokardy, jak widać na rysunku. *Ti.*

JAK LEKKO PRZEJŚĆ PRZEZ ŻYCIE!



Sukienka popołudniowa z jasnego peau d'ange.

Popularne powiedzonko mówi, że w życiu należy przedewszystkiem niczem się nie przejmować, uważać na zakrętach i nosić wygodne obuwie! Chociaż ujęcie filozofji życiowej w tej formie jest nieco... proste, to jednak tkwi w niem, pomimo wszystko, swoisty, zdrowy rozum. Bo rzeczywiście, jak można wygodnie przejść przez życie... mając niewygodne buty?!

Jeżeli chodzi o kobiety, to można stwierdzić z całą pewnością, że im piękniejsze noszą pantofelki, tem lżej i lepiej stąpają po tej ziemi, a im wyższe są obcasy... tem czują się pewniejsze siebie... Wogóle możnaby na ten temat napisać mały traktacik, podnosząc tak stosunkowo skromny przedmiot, jakim są buty do pewnego rodzaju symbolu, wyciągając z różnych obserwacyj w odniesieniu do obuwia, psychologiczne konsekwencje.

Nie będziemy się zapuszczać w historję obuwia, która jest ciekawa dla kogoś, kto śledzi rozwój mody i poszczególne jej odmiany. Wspomnimy tylko, że w paryskiem Musée Cluny istnieje największy na świecie zbiór obuwia wszelkich czasów. Przechodząc przed szeregiem witryn, zawierających różne sandały, pantofelki, trzewiki, buty z cholewami itd., ogarnia widza szczere zdziwienie, gdyż przekonuje się, że wszystkie możliwe odmiany w tej dziedzinie były już kiedyś aktualne i że fantazja ludzka jest znacznie bogatsza niżby się zdawało. Zacząwszy od długich, spiczastych butów średniowiecza, robionych bądź to ze skóry, bądź też z materjałów, a skończywszy na ciężkich, wysoce charakterystycznych butach pocztyljonów XVIII wieku, przez ręce szewców przewinęły się najrozmaitsze typy trzewików.

W Polsce, jak wiemy, choćby z „Pana Tadeusza", Warszawa oddawna cieszyła się sławą miasta, posiadającego najlepszych szewców i zachowuje tę palmę pierwszeństwa do dziś dnia, tylko jeżeli Zosia, przygotowując się do ślubu wkładała „warszawskie trzewiczki atłasowe", to imienniczki jej w roku 1935 mają znacznie rozleglejsze potrzeby, no i ... znacznie większe wymagania.

Istotnie! Istnieje dzisiaj tyle odmian obuwia, zwłaszcza damskiego, tak ściśle łączy się ono z daną porą dnia, powstało tyle nowych gatunków obuwia sportowego, że bez przesady można powiedzieć, iż kobieta współczesna w każdej sytuacji życiowej i każdej porze dnia i nocy może nóżkę swą obuć w inny pantofelek.

Moda współczesna stawia duże wymagania wobec obuwia damskiego, żądając przedewszystkiem, aby piękna pani ściśle uważała na sharmonizowanie obuwia ze swoim strojem, dostosowując do nich nawet torebki. Pantofelki o wysokich obcasach modne są obecnie jedynie wieczorem, podczas gdy popołudniu noszą panie obuwie z obcasami wysokości 2—3 centymetrów. Są one znacznie praktyczniejsze od tamtych i wygodniejsze, a tego wymaga ruchliwy tryb życia współczesnej kobiety. Do tych celów też najlepiej nadają się buciki ze skóry cielęcej lub świńskiej, albo z zamszu. Metalowe klamry dodają bucikowi oryginalności i swoistego piękna.

W zakresie wygodnego obuwia istnieje bardzo wiele odmian, z których niejedna odznacza się przewiewnością, posiadając wycięcia po bokach, co pozwala na zdrową „wentylację". Na letnisku, nad morzem nosi się oczywiście buciki płócienne białe, lub też skórzane z wkładkami płóciennemi. Wogóle damskie buciki odznaczają się obecnie wielką różnorodnością materjałów, wśród których



Oryginalne pantofelki Marleny Dietrich.



Atłasowy pantofelek do wieczorowej sukni.



Skórkowe półbuciki z lakierowanemi obkładami.



Płócienne buciki z obkładami z żółtej skórki.



Pantofelki do jasnych sukienek letnich.

Na prawo od góry ku dołowi: Sportowe półbuciki, biało-czarne, sznurowane. — Białe półbuciki, sznurowane, w perforowany deseń. — Zamszowe pantofelki z lakierowanemi obkładami. — Pantofelki z granatowej skórki, perforowane na białem tle. — Pantofelki lakierowe na francuskim obcasie.



Zamszowe pantofelki do ciemnego kostjumu.

nie brak drogich skór wężowych, jaszczurczych i krokodylich do wytwornych kostjumów i sukien wizytowych.

Ostatnią nowością wiosenną są miniaturowe sandałki á la Gandhi, lekkie, wygodne i na niziutkim obcasie.

Współczesne panie nietylko chcą być dobrze ubrane i obute, ale są przedewszystkiem także i praktyczne, to też dbają o swe obuwie więcej, niż poprzednio, ucząc się sztuki konserwowania go w należyty sposób.

Zasadnicze i najbardziej skuteczne obchodzenie się z obuwiem, da się streścić w następujących wskazówkach: zdjąwszy obuwie z nóg, należy je starannie oczyścić z kurzu, podeszwę wysmarować olejem lnianym, wierzch zaś cieniutko pociągnąć pastą lub kremem i wytrzeć specjalnie na ten cel przeznaczoną flanelką, aż do połysku. Raz na parę miesięcy zmyć pastę letnią wodą, wierzch nasmarować olejem lnianym i pozostawić tak buciki trzy do czterech dni, poczem znów natrzeć pastą, aż do połysku. Przemoczone obuwie należy naciągnąć na prawidła, w braku ich twardo wypchać papierem. Nie należy ich jednak suszyć gwałtownie, przez stawianie ich obok pieca itd.

Wszelkie obuwie należy przechowywać w suchem miejscu. Gdyby pleśniało, nasmarować olejkiem terpentynowym z dodatkiem kamfory, nie używać jednak wazeliny, bo to powoduje pęknie skóry. Wszystkie te wskazówki odnoszą się do trzewików męskich, dziecięcych i grubych damskich. Buciki ze skór fantazyjnych wymagają innych starań. Żółte trzewiki myje się co siedem do dziesięciu dni watą, zmoczoną w benzynie lub w mleku zmięszanem z terpentyną (dwie łyżeczki nietłustego mleka i jedna łyżeczka terpentyny). Gdy wyschną pociąga się je żółtą pastą i czyści flanelką. Pantofli płóciennych nie należy też smarować kredą, lecz wystarczy umyć wodą.

Buciki skórkowe lakierowane najlepiej czyszczą się acentonem. Aceton trzymać zdala od ognia i przy czyszczeniu nie palić np. papierosa.

A teraz przepis na uodpornienie obuwia przed zamakaniem. Otóż należy wlać pół litra oleju lnianego do kamiennego garnka, dodać 6 dkg łoju baraniego, 2 dkg wosku i 16 dkg żywicy. Wszystko razem topi się na płycie kuchennej, ustawicznie mieszając. Gdy się rozpuści i wymiesza, smaruje się wówczas całe czyste, suche obuwie przy pomocy pendzla. Należy smarować wierzch i podeszwy kilkakrotnie.

Ważną rzeczą jest używanie odpowiednich kremów.

Żółty krem na obuwie sporządza się następująco: 12 dkg żółtego wosku (na białą pastę — białego) topi się w emaljowanym garnuszku na gorącej płycie — nie na ogniu. Gdy wosk się roztopi, odstawić, utrzeć łyżką na pianę, a gdy ostygnie, dodać 7 dkg benzyny i 4 dkg terpentyny, wszystko razem ucierając. Krem złożyć do słoiczków.

Czarny krem: 10—11 sztuk czarnego wosku topi się, odstawia i bardzo ostrożnie do gorącego jeszcze wosku wlewa się, wciąż mieszając, 10—15 dkg terpentyny. Wymieszaną masę, jeszcze ciepłą, wlewa się do słoiczków.

Te sposoby robienia w domu past do obuwia przydadzą się bardzo naszym paniom.

Pani Paula.



Dwuczęściowy komplet, podbity georgettą. Prześliczne mankiety.











Życie towarzyskie i artystyczne



Fanny Gordon, kompozytorka „Jachtu miłości".

SUKCES POLSKIEJ OPERETKI w BRUKSELI.

Do największych sensacyj teatralnych w Brukseli należą obecnie występy naszej rodaczki p. Ireny Popielskiej, która ukazuje się publiczności belgijskiej w pięknej operetce „New York — Baby", znanej w Polsce p. t. „Jacht miłości", kompozycji Fanny Gordon. Zarówno treść operetki, dająca okazję do licznych występów tanecznych, jak też osobiste walory p. Popielskiej, rozporządzającej pięknym głosem i urodą, będącej również świetną tancerką, zyskały imprezie wielkie powodzenie i uznanie.

P. Popielska uda się po skończeniu swych występów w Brukseli na dłuższe tournee, podczas którego odwiedzi również stolicę Holandji, Hagę; („Jacht miłości" został już przetłumaczony na język holenderski). Najwięcej jednak rodaczka nasza spodziewa się po wizycie swej w Londynie i w Paryżu, gdzie sława jej niewątpliwie nabierze jeszcze znakomitszych blasków.



Irena Popielska.

LAJKONIK W BERLINIE.



Balet Parnella zawitał zkolei do stolicy Niemiec, gdzie święci prawdziwe triumfy. — Na zdjęciu: „Lajkonik" (Das Pferdchen von Zwierzyniec) na deskach berlińskiego Wintergartenu. Zwraca uwagę dekoracja obrazu, przedstawiająca fragment Krakowa z widokiem na Barbakan i kościół Panny Marji.

★

Poniżej:
P. Helena Majewska, uczennica znakomitej profesorki śpiewu p. Marek-Onyszkiewiczowej z Krakowa, wyróżniona została dyplomem honorowym na wokalnym konkursie Polskiego Radja w Poznaniu.
Fot. „As".



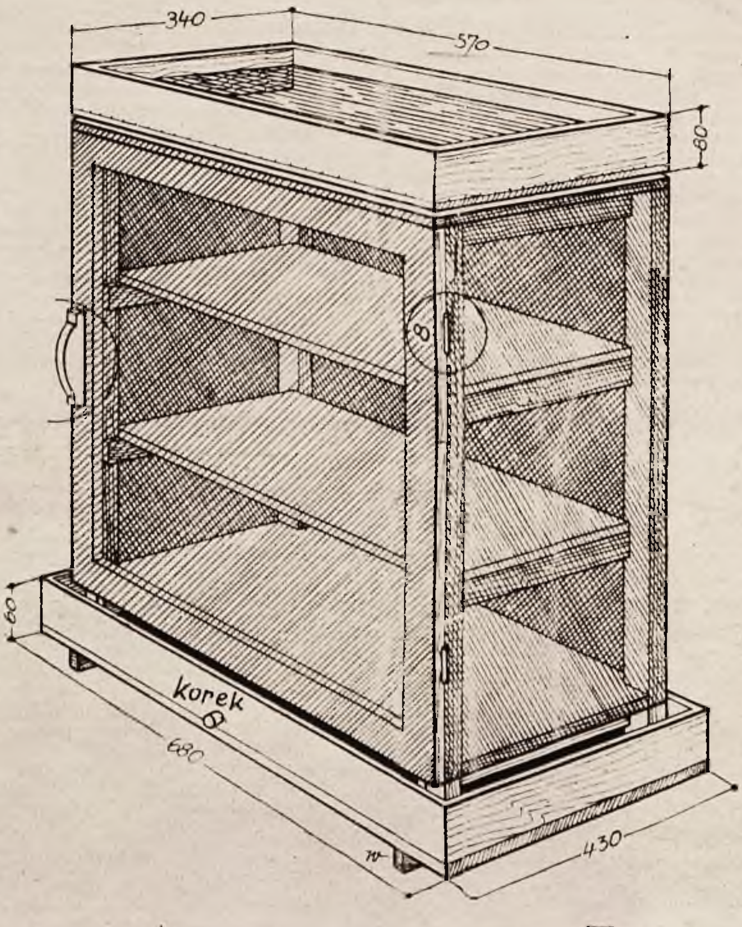
★

Poniżej:
Młody uczony p. Jerzy Młodziejowski, syn wybitnej artystki teatrów poznańskich, znanej pod pseudonimem Wojciechowskiej, otrzymał ostatnio dyplom doktorski na Uniwersytecie poznańskim na podstawie pracy z dziedziny glaceologji Tatr.
Fot. „As".



JAK zbudować lodownię, która chłodzi bez lodu?

Do przechowywania środków żywności w ciepłej porze roku konieczna jest lodownia. Wiadomo bowiem, że przeważna ich część ulega w wyższej temperaturze szybkiemu zepsuciu, natomiast w chłodzie można ją przechowywać przez dłuższy czas. Do użytku domowego służą bądźto lodownie, w których źródłem zimna jest lód naturalny lub sztuczny, bądźteż nowoczesne aparaty chłodnicze, które pracują bez użycia lodu i tylko na podstawie rozprężania się gazu np. amoniaku lub dwutlenku siarki. Ale aparatom tym trzeba znowu dostarczać energji cieplnej w różnej formie czy to przez bezpośrednie ogrzewanie płomieniem gazowym lub naftowym, bądźteż grzejnikiem elektrycznym. Wszystkie wymienione dotychczas lodownie wymagają zatem, prócz jednorazowego wydatku na sam aparat chłodniczy, jeszcze stałych wydatków dla utrzymania lodowni w ruchu. Poniżej podamy opis lodowni, którą stosunkowo łatwo można sobie samemu zbudować, a która nie wymaga żadnych kosztów utrzymania i stosunkowo bardzo mało obsługi. Działanie tej lodowni opiera się na znanej własności cieczy, która parując, odbiera ciepło swemu otoczeniu, czyli je chłodzi, tem intensywniej, im więcej ciepła wyparowuje. Intensywność parowania możemy zwiększyć przez powiększenie powierzchni cieczy parującej. Wzrasta ona także wówczas, gdy powietrze dookoła jest cieplejsze i suche oraz gdy powietrze to szybko się zmienia.



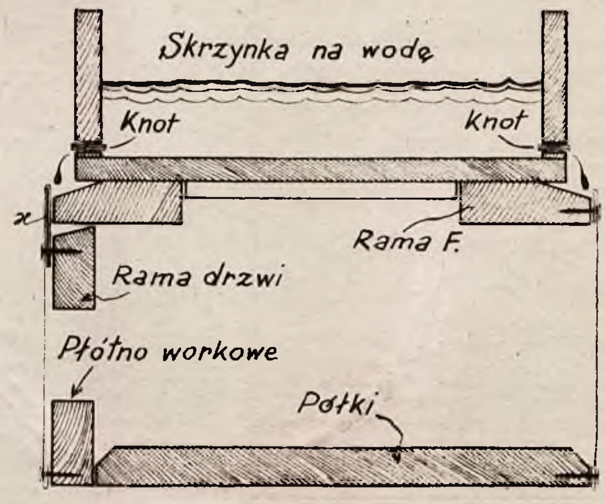
Oto, jak wygląda „lodownia", którą możecie sobie zbudować (dokładny opis w artykule).

Lodownia nasza, to właściwie mała szafka drewniana o trzech półeczkach. Ściany zewnętrzne i drzwi tej szafki sporządzone są z grubego workowego płótna. Płótno to jest stale zwilżane wodą, ściekającą ze zbiornika, umieszczonego *na szafce*. Woda ścieka przez drobne otworki, znajdujące się u dołu, w pobliżu dna tego zbiornika. Ścieka ona kroplami bardzo wolno, gdyż w otworkach tych znajdują się knociki bawełniane, nasiąkające wodą. — Przez użycie grubszego lub cieńszego knocika, możemy regulować ilość wody, kapiącej w pewnym czasie na płócienne ściany szafki. Powinno zawsze tyle wody ściekać, aby wszystkie ściany płócienne szafki były stale wilgotne, aby jednak na dole woda z płótna już nie ściekała. Wskutek rozdzielenia się wody na wielkiej powierzchni włókien płótna, woda ta intensywnie paruje. Powinno zatem ściekać tylko tyle z górnego zbiornika, ile ściany płócienne potrafią wyparować. Dzięki temu intensywnemu parowaniu, panuje właśnie wewnątrz szafki silny chłód, nawet wówczas, gdy na dworze jest bardzo gorąco.

Ponieważ jednak ze ścian płóciennych szafki mogłaby woda ściekać nadmiernie, wbrew wyżej podanym środkom zaradczym, przeto na spodzie szafki znajduje się również zbiorniczek, do którego woda ta może spływać. Szafka ta stoi cała na tym zbiorniczku. Podajemy kilka rysunków, objaśniających budowę tej szafki. Szafkę można sobie sporządzić samemu, lub dać zrobić przez stolarza. Najlepiej zrobić z drzewa sosnowego i po wykonaniu pomalować najpierw farbą podkładową, a następnie dwa razy lakierem emaljowanym, wodoodpornym, tąkim, jakiego używa się do lakierowania łodzi lub kajaków.

Naszą lodownię umieszczamy najlepiej w miejscu *przewiewnem*, np. na balkonie po stronie północnej. Można ją sobie urządzić w dowolnej wielkości. Przy montowaniu tej lodowni ważnem jest opinanie płótnem trzech ścian bocznych i ram drzwiowych. Górną krawędź płótna zakładamy na szerokość 20 mm, przybijamy w ten sposób do ram, aby część tej zakładki w szerokości 5 mm wystawała jeszcze ponad ramy. Widoczne to jest z załączonego rysunku. Widać także na rysunku, że górna rama szafki, na której znajduje się zbiornik, jest przystrugana ukośnie na zewnątrz, tak, aby woda, kapiąca z otworów w zbiorniku, ściekała po pochyłości ku zakładce płóciennej, przybitej gwoździkami do tejże ramy.

Budowa takiej szafki jest niesłychanie prosta i polega tylko na zestawieniu szkieletu normalnej szafy z belek i listew. W porównaniu ze zwyczajną szafą, brak tylko wszystkich 4 ścian bocznych, a krawędzie opięte są płótnem, jak powiedzieliśmy wyżej. Zasada działania tej lodowni bez lodu jest zupełnie identyczna z tą, na której opiera się budowa chłodnic na masło, w których również treść naczynia chłodzona jest wskutek parowania wody poprzez pory glinianego naczynia. A.



Schemat budowy „lodowni", chłodzonej wodą.

NA SCENIE.

Na poznanie i zasadniczą dyskusję zasługuje przedewszystkiem ciekawy reportaż sceniczny Kazimierza Gołdy p. t. „Rekruci", grany niedawno w Katowicach. a ostatnio wystawiony w teatrze „Comoedia" w Warszawie. Sztuka ta zajmuje się problemem współczesnych zagadnień pedagogicznych i odzwierciedla stosunki w dzisiejszej szkole. Przed Gołdą uczynił to w pamiętnej „Sztubie" Kazimierz Leczycki. „Sztuba" była bardziej artystycznie skomponowana od „Rekrutów" — „Rekruci" jednak bardziej wstrząsają widownią, gdyż życie szkoły przedstawione jest w nich w bardziej jaskrawych barwach i w silnych oskarżeniach. Niewątpliwie oskarżenia tej sztuki, choć jak wyznaje autor, w całości zaczerpnięte z życia, są mocno przerysowane. Niemniej jednak problem, przez nią poruszony, zasługuje na głębszą uwagę.

Teatr „Comoedia" wystawił „Rekrutów" w bardzo pomysłowej inscenizacji i dekoracjach Poredy.

Wystawienie przez Teatr Miejski w Wilnie sztuki Artura Górskiego **„O zmartwychwstanie"** jest ważnem wydarzeniem literackiem, a równocześnie sukcesem artystycznym teatru, reżyserów przedstawienia — Szymańskiej i Szpakiewicza, oraz młodego artysty Stefana Środki. W Wilnie na repertuarze jest równocześnie Molierowski **„Chory z urojenia"**, który wciąż cieszy się niesłabnącem powodzeniem.

W Bydgoszczy sukces zdobył sobie **„Powrót posła"** Niemcewicza z bardzo dobrymi Chmurkowską i Stan. Dąbrowskim. W Poznaniu zaś bardzo starannie w „Teatrze Polskim" wystawiono **„Cyda"** Corneille'a — Wyspiańskiego.

W Krakowie Teatr miejski wprowadził do repertuaru **„Trafikę pani Generałowej"**, komedję Bus-Fekete'ego, gdzie zasłużony sukces artystyczny odniosła młodziutka Z. Dywińska. **(swb.)**

Program radjowy ogłoszony w poprzednim numerze jest ważny na tydzień bieżący.

Nowe książki.

Wśród polskich książek, jakie pojawiły się na schyłku sezonu wydawniczego, przed wielką batalją wydawniczą jesienną, wymienić należy ciekawą powieść Wacława Czosnowskiego p. t.: **„Krwawnik"** (Gebethner i Wolff, Warszawa). Autor książki pracuje od szeregu lat w M. S. Z. i znany jest polskim dziennikarzom ze swej ruchliwości i uprzynności wobec stanu dziennikarskiego. Obecnie zajmuje stanowisko konsula polskiego w Lyonie. Powieść Wacława Czosnowskiego kreśli przed oczyma czytelnika dzieje młodzieńców, pochodzących ze zrujnowanej rodziny kresowej. Odznacza się ona barwnością obrazów i kulturą stylistyczną.

Aktualną ze względu na uroczystości króla Jerzego V. jest książka głośnego francuskiego pisarza Andrzeja Maurois o „Edwardzie VII", gdyż pozwala nam ujrzeć wizerunek wielkiego poprzednika obecnego monarchy i przedstawia atmosferę, w jakiej wychował się obecny władca Anglji. Książka francuskiego autora p. t.: **„Edward VII i jego czasy"** pojawiła się w polskim przekładzie Heleny Hellerówny w nakładzie Udziałowej Spółki Wydawniczej w Krakowie. Gustowne to wydanie znajdzie napewno czytelników.

Szczególnie piękną szatą zewnętrzną odznacza się świeżo ogłoszona w polskim przekładzie powieść duńskiego autora Niss Petersena p. t.: **„Ulica sandalników"**. Książka ta, która zyskała sobie olbrzymie uznanie zagranicą i została przełożona na wiele języków, jest wspaniałym obrazem Rzymu za panowania Marka Aureljusza i należy do najciekawszych prób powieści historycznej, jakie oglądaliśmy po wojnie. Przekładu dokonał Zbigniew Grabowski, książka wyszła nakładem J. Przeworskiego w Warszawie. **(g).**

TO WARTO POZNAĆ...

Nowe płyty.

„Is That Religion?" — To utwór Pinkarda, o którym pisaliśmy już swego czasu. Obecnie fox ten ukazał się na płycie Brunswick A 9051 w wykonaniu orkiestry Cabe Collovaya. Śpiewa refren Collovay wraz ze swym chórem murzyńskim. Kompozycja ta w interpretacji Collovaya staje się dziką i szaloną, jak czarny ląd i jak on świeża.

Bardzo melodyjny fox p. t. „Old Mammy Mine" (Jimmy Kennedy) znajdujemy na płycie Odeon 253836. Foxtrott ten gra londyńska orkiestra Harry Roya.

Mulatka, sławna śpiewaczka Harlemu — o głosie niepokojącym i ostrym jak spojrzenia dzikich zwierząt — Mildred Bailey — śpiewa refren doskonałego foxtrotu p. t. „Heat Wave" (Irving - Berlin). Akompanjuje Glen Gray i zespół Casa Loma. Heat Wave jest jedną z ciekawszych kompozycyj nagranych ostatnio. Brunswick A 9562.

Bing Crosby — śpiewak radja amerykańskiego, aktor filmowy i exczłonek wielkiej orkiestry P. Whitemana śpiewa obecnie dwie bardzo miłe i melodyjne piosenki. Oto tytuły: „May I" i „Love Thy Neighbour" (Gordon Revel). Brunswick A. 9557.

„Tigger Rag" (La Rocca) to utwór tak chętnie grany przez wszystkie murzyńskie orkiestry. Obecnie znajdujemy go na płycie Brunswick A 500341 w dobrem i ciekawem wykonaniu orkiestry F. Johnson'a. **(jot.)**

SPÓŁKA WYDAWNICZA KURJER S. A.